Tom I. **Zeszyt I.**



SKARBCZYK DOMOWY.





PISMO

poświęcone zabawie i nauce,

obejmujące w sobie:

historyą, biografie, nauki przyrodzone, podróże, powieści, poezye, wiadomości o nowych odkryciach i wynalazkach i t. p.

OZDOBIONE DRZEWORYTAMI

wychodzące pod kierunkiem

GUSTAWA CZERNICKIEGO.

W KRAKOWIE

NAKŁADEM JULIUSZA WILDTA.

1863.



Poszyt kosztuje 50 centów.

SKARBCZYK DOMOWY.

PISMO

POŚWIĘCONE ZABAWIE I NAUCE,

obejmujące w sobie:

historyą, biografie, nauki przyrodzone, podróże, powieści, poezye, wiadomości o nowych odkryciach i wynalazkach i t. p.

OZDOBIONE DRZEWORYTAMI,

wychodzące pod kierunkiem

GUSTAWA CZERNICKIEGO.

TOM I.

W KRAKOWIE.

NAKŁADEM JULIUSZA WILDTA.

1863.

W DRUKARNI „CZASU"



BOGA RODZICA.

Boga rodzica Dziewica
Bogiem sławiona Marya!
U Twego Syna gospodyna
Matko zwolona Marya!
Zyszczy nam spust winom.
Kyrielejson.

Twego Syna Chrzciciela zbożny czas
Usłysz głosy, napełni myśli człowiecze,
Słysz modlitwę, jenże Cię prosimy,
Oddać raczy, Jegoż prosimy;
Daj na świecie zbożny pobyt,
Po żywocie rajski przebyt.
Kyrielejson.

Narodził się dla nas Syn Boży,
W to wierzy człowiecze zbożny,
Iż przez trud, Bóg swój lud
Odjął djabłu z straży.

Przydał nam zdrowia wiecznego,
Starostę skował piekielnego,
Śmierć podjął, wspomionął człowieka pierwego.
Jenże trudy cierpiał bezmierne,
Jeszcze był nie przyspiał za wierne,
Ale sam Bóg zmartwychwstał.

Adamie, ty boży kmieciu,
Ty siedzisz u Boga w wiecu,
Domieść nas swe dzieci,
Gdzie królują już święci.

Tam radość, tam miłość, tam widzenie
Twórca anielskie bez końca, —
Tu się nam zjawiło djable potępienie.

Ni srebrem, ni złotem nas djabłu odkupił,
Swą mocą zastąpił.
Ciebie dla człowiecze dał Bóg przekłóć sobie
Ręce, nodze obie,
Krew święta szła z boku na zbawienie tobie.

Wierzże w to człowiecze,
Iż Jezus Bóg prawy
Cierpiał za nas rany,
Swą Świętą Krew przelał za nas Chrześciany.

O duszy, o grzesznej, sam Bóg pieczą ima,
Diabłu ją odejma; —
Gdzież to sam króluje
Tam ją k' sobie przyjmuje.

Już nam czas, godzina grzechów się kajaci,
Bogu chwałę daci,
Wszystkiemi siłami Boga miłowaci.

Marya Dziewica prosi Syna swego
Króla niebieskiego,
Aby nas uchował ode wszego złego.

Wszyscy Święci proście,
Nas grzesznych wspomożcie,
Byśmy z wami byli,
Jezu Chrysta chwalili.

Tegoż nas domieści Jezu Chryste miły,
Byśmy z Tobą byli
Gdzie się nam radują wszystkie niebieskie siły.

Amen, amen, amen, amen,
Amen, amen, amen, tak Bóg daj,
Byśmy poszli wszyscy w raj,
Gdzie królują anieli.

Hymnem „*Bogarodzica*" rozpoczyna się piśmienna literatura nasza, — rozpoczynają się prawie jaśniejsze dzieje narodu naszego. Śpiew ten niby świetlana nić niebieskiego blasku przewija się przez cały żywot Polski, — niby pełen powagi i świętości prześpiew odzywa się co chwila w olbrzymiej pieśni naszej przeszłości. Z tym hymnem w ustach przodkowie nasi uderzali na wroga, przy jego dźwięku odpierali piersiami swemi najazdy wschodniej dziczy, darząc pokojem i bezpieczeństwem całą Europę, — kiedy tymczasem kobiety, starcy, kaleki i dzieci tym samym hymnem po świątyniach pańskich błagali Najświętszą Matkę Zbawiciela o błogosławieństwo orężowi walczących.

W późniejszych czasach, wspaniały w prostocie swojej chorał ten wyszedł z użycia i poszedł prawie w zapomnienie — a rycerze konfederacyi barskiej inną już pieśnią, poczynającą się od słów: „Bądź pozdrowiona Panienko Marya!" składali cześć Królowej niebios i oddawali się Jej w opiekę.

Dziś, kiedy tę szacowną relikwią przeszłości, uczyniono przedmiotem popisów publicznych, — kiedy ją ze świątyń pańskich i z pola bitew ściągnięto na teatralne deski, może nam nikt za złe nie weźmie, że ośmieliliśmy się rozpocząć nią tę skromną i może nieudolną, ale szczerze pożytek ogólny mającą na celu pracę około wydawania niniejszego pisemka. — Kto z Bogiem, to i Bóg z nim, mówi stare przysłowie, — i godzi się podobno pragnąć błogosławieństwa bożego w każdem, byle uczciwem przedsięwzięciu. — A teraz jeszcze kilka słów historycznej wiadomości o naszej pieśni.

Podanie utrzymujące się w narodzie i w kościele od najdawniejszych czasów, pieśń „*Bogarodzica*" mieni być utworem świętego Wojciecha.

Kromer kronikarz (ur. 1512 †1589) świadczy, iż za twórcę tej pieśni miany jest w Polsce ś. Wojciech.

Jan Łaski kanclerz wielki koronny w swoim zbiorze praw noszącym napis: „*Commune inclyti Regni privilegium*" wydanym w Krakowie roku 1506 mówi, iż tak z przywilejów zachowanych w koronnym skarbcu publicznym, jako też ze świadectw kościelnych widać, że śpiewu „Boga-Rodzica" nie kto inny tylko ś. Wojciech jest autorem.

Dwaj najznakomitsi kaznodzieje nasi: Jakób Wujek i Piotr Skarga, również za twórcę jej tego świętego podają. Wujek w kazaniu swojem na dzień ś. Wojciecha, mówiąc o nabożeństwie Polaków do „Panny Maryey i inszych Świętych a Wybranych Pańskich" powiada: „Okazuje się to z wiela rzeczy, ale osobliwie z onej starej piosnki, z onego starego katechizmu polskiego, co go zowiemy Bogarodzica, który tenże Wojciech ś. złożył....." — Skarga w żywocie ś. Wojciecha tak się wyraża: „Jaką wiarę ś. Wojciech w Polsce szczepił, dochowanie jej stateczne i podanie od miłych a zacnych przodków naszych pokazuje, zwłaszcza w pieśni onej „Bogarodzica" zowiącej się, której ś. Wojciech Polaków nauczył." A następnie tak wymownie pieśń tę charakteryzuje: „Mądre tedy to jest lubo krótkie w tej pieśni wszystkiej wiary wyznanie, utwierdzenie nadziei, nauka pokuty, nabożna i rostropna modlitwa, szczere a proste do Boga serce. Z tem sercem szli przodkowie nasi, to śpiewając a wyznawając, na ostre pogańskie żelaza i włócznie tak ochotnie, jako święci boscy na męczeństwo.

Z tą pieśnią abo raczej wiarą i sumieniem dobrem, w wojsku swem kapłany mając i od nich błogosławieństwo i rozgrzeszenie biorąc, hufce nieprzyjacielskie daleko liczbą i mocą większe starli i siłę ich rozsypali, państwo z koroną rozszerzyli; z tego co wygrali, kościół boży i chwałę jego szczepili, cnotę i pobożność rozmnażali, sławę królestwa tego wynieśli, wieczną pamięć a potomkom przykład postawili.“

Starodawny odpis tej pieśni wraz z muzyką, przechowany w katedrze gnieźnieńskiej, według którego tamże po dziś dzień ją śpiewają, nosi na początku nagłówek łaciński: *„Prosa S. Adalberti.“*

Dzisiaj, kiedy wszystko, nawet piękność, oddano pod nóż anatomiczny, — kiedy wszystko, nawet świętość, wzięto pod matematyczny rachunek, — kiedy następnie w skutek takiej dążności straciły kredyt i powagę tradycye narodowe i kościelne, nie ostało się spokojnie i podanie „Bogarodzicę“ ś. Wojciechowi przypisujące. — Jakby na hasło wywleczonego z grobu Krzysztofa Kraińskiego, przed trzema blisko wiekami zmarłego pastora protestanckiego, który w Postylli swojej w r. 1611 w Łaszczowie wydanej pierwszy na powagę tego podania po kacersku się rzucił, i hymn „Boga-Rodzica“ *pieśnią dziadowską* nazwał, powstał w ostatnich czasach zastęp idących w jego ślady krytyków, między którémi co dziwniejsza, i katoliccy kapłani stanęli. — Rycerze ci nowej anatomiczno-arytmetykalnej idei, przeciw autorstwu ś. Wojciecha przytaczają następujące główne zarzuty: Że pieśń ta nie jest utworem ś. Wojciecha, gdyż jej Czechy nie znają; — że Długosz mówiąc iż przy zaczęciu bitwy grunwaldzkiej Polacy pieśń „Boga-Rodzica“ śpiewali, nie wymienia ś. Wojciecha jako jej twórcę; — że nakoniec Łaski w statucie swoim nie przytacza w całej osnowie dokumentu świadczącego o ułożeniu tej pieśni przez śgo Wojciecha, zkąd naturalny wedle nich wypada wniosek, że Łaski zmyśla. — Przypatrzmy się choć pobieżnie tym zarzutom, a obaczymy iż one żadnej rzeczywistej nie mają podstawy.

I tak: zarzut pierwszy sam z siebie upada, jeżeli zwrócimy na to uwagę, że wedle podania Wojciech ś. ułożył pieśń „Boga-Rodzica“ dla Polaków, a więc prawdopobnie po ostatecznem swojem z Czech do Polski ustąpieniu; w duchu też tego podania Wujek pieśń tę nazywa: K a t e c h i z m e m p o l s k i m przez ś. Wojciecha złożonym. Że zaś pieśń ta ani potem do Czech nie przeszła, ani nawet gdyby była poprzednio utworzoną nie mogła się utrzymać i rozszerzyć w rodzinnym kraju biskupa, — to łatwo sobie wytłómaczyć popatrzywszy nieco na ówczesne spółeczne i religijne Czech stosunki, oraz na usposobienie czeskich owieczek względem pragskiego pasterza, które było tego rodzaju, że gdyby był święty mąż dwukrotnie nie ratował się ucieczką, byłby w katolickiej ojczyznie własnej popadł temu samemu losowi, który później w pogańskiej ziemi Prusaków męczeńską skronie jego otoczył koroną.

Że Długosz nie wymienia ś. Wojciecha jako twórcę „Boga-Rodzicy“, nie dowód to jeszcze, że Wojciech ś. rzeczywiście twórcą jej nie był. — Mimo wielkich zalet jakie kronice Długosza każdy przyznać musi, nie jest ona przecież ewanielią przeszłości naszej, abyśmy wszystkiemu co jest po za nią, czego w niej nie masz, przeczyć i fałsz zadawać mieli. — Owszem, jeźli się przypatrzymy kronikarzom naszym ówczesnym, tak z XV jak XVI wieku, spostrzeżemy, że ogólnem prawie jest u nich zaniedbywanie, pomijanie, a przynajmniej lekkie traktowanie rzeczy, które wówczas powszechnie znajome, zdały się być niegodnemi, aby się nad niemi pióro dziejopisa zabawiać miało, — które zresztą mimowolnie częstokroć uchodziły jego uwagi, jak się to często zdarza przedmiotom co chwila wpadającym nam pod oczy, — a o których jednak szczegółowa wiadomość dla nas dzisiaj arcy byłaby cenną. Dla tego to np. opis Polski Jana Krasińskiego kanon. krakow. i gniezn. wydany w r. 1574 w Bononii pod napisem *Polonia* a dedykowany Henrykowi Walezemu ma tę szczególną dla nas wartość, że autor mając prawdopodobnie na celu obeznanie bliższe nowego króla-cudzoziemca z nową jego ojczyzną, mówi o wielu rzeczach, o których inni przemilczają pisarze. Podobnie i Długosz przemilczeć mógł autorstwo ś. Wojciecha, — boć i my dzisiaj nie powtarzamy za każdą razą kto ułożył „Ojczenasz“ — ani nie wypominamy przy każdej sposobności imienia Twórcy „Dekalogu.“

Co do ostatniego zarzutu, to przedewszystkiem zwrócić musimy uwagę na to, że niepodobna przypuszczać istnienia jakiegoś osobnego przywileju przyznającego czy potwierdzającego ś. Wojciechowi autorstwo „Boga-Rodzicy“ — i dla

tego to zapewne *Łaski* go nie przytoczył, a nawet powiada wyraźnie, że z przywil*ejów* i świa*dectw* kościel*nych*, to jest ze wzmianek tu i owdzie po starych dokumentach rozsianych, do tego przekonania przyszedł, iż nie kto inny tylko ś. Wojciech ułożył „Boga-Rodzicę.“ — Że zaś tych wzmianek troskliwie nie zebrał i dosłownie nie zacytował, to zapewne dla tego, iż mniej mu się to zdawało potrzebnem i koniecznem w księdze *praw* narodowych, — a zresztą bezwątpienia przez myśl mu nie przeszło, aby takiemu jak on dostojnikowi w narodzie i kościele, bo kanclerzowi w. koronnemu i arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, mężowi któremu król Alexander Jagiellończyk spisanie księgi praw narodowych poruczył, a który nie wachał się odmówić położenia pieczęci na wyroku wbrew sprawiedliwości wydanym przez tegoż króla, a skazującym na śmierć nieprzyjaciół potężnego jego faworyta Glińskiego, — aby powtarzamy takiemu jak on człowiekowi, w trzy wieki później miał ktoś zarzucić, że słowa jego wypowiedziane w obec całego narodu, w obec duchowieństwa i innych dostojników rzeczypospolitej, którym przystęp do zbioru aktów publicznych równie jak jemu stał otworem, słowa przez nikogo z współczesnych niezaprzeczone, miały być czystem kłamstwem, bez żadnego wymyślonem celu, bo wywołanem jedynie: „żarliwością religijną, by w rozumieniu pobożnego stanu rycerskiego podniósł świętość tej pieśni“ *). — Dziwna zaiste żarliwość religijna w kapłanie, wiodąca do odwoływania się do nieistniejących świadectw dla uświęcenia pieśni, już i tak świętej w przekonaniu ludzi pobożnych, jak skoro się nią w świątyniach pańskich i w krwawych bojach do Pana Zastępów modlili!

W braku więc dowodnych piśmiennych świadectw tak za jak i przeciw ułożeniu tej pieśni przez ś. Wojciecha, na szali rozsądnej krytyki musi przecież coś zaważyć tradycya ustna, która się przez tyle wieków przechowała w narodzie i kościele. — Podania tego rodzaju za nadto głęboką mają podstawę, aby je lada zarzuty, niezbitemi niepoparte dowodami obalić mogły. Wiara tylu pokoleń odziewa je pewną świętością, z której odrzeć je nie łatwo, a wielkie pytanie czy się je odzierać z niej godzi? — Co tak długo przetrwało, nie z kłamstwa musiało wziąść początek.— To też widzimy, że pomimo pokuszeń nowoczesnej krytyki, ani jednego z podań narodowych zburzyć się jej nie udało. — Mimo wszystkiego co usiłowano powiedzieć o rzeczywistem niby znaczeniu mogił krakowskich, pozostały one i pozostaną mogiłami Krakusa i Wandy — tak podobno i pieśń „Boga-Rodzica“ pozostanie pieśnią ś. Wojciecha. — W końcu niech nam wolno będzie zapytać przeciwników tego mniemania, jaki pożytek dla narodu, jaką korzyść dla samej nauki zdobędą, gdyby się im rzeczywiście podanie to zachwiać albo i obalić udało, jeżeli nie mają nadziei wykazania innego niewątpliwego twórcy naszej pieśni, ani innej pewnej epoki jej pochodzenia?...— Obalić ośmiowiekową tradycyą na to, aby w jej miejscu nic nie postawić, smutny to tryumf, o który zaprawdę ubiegać się nie warto.

Pieśń Boga-Rodzica nie doszła do nas w pierwotnym swoim kształcie, a najstarsze znane nam jej odpisy początku XVgo wieku sięgają. Prawdopodobnie pieśń ta pierwotnie składała się z dwóch tylko pierwszych zwrotek, zawierających w sobie hymn właściwy, który śpiewali księża, i odśpiew *Kyrielejson*, którym lud kapłanom odpowiadał. Taki był skład wszystkich najdawniejszych śpiewów w kościele naszym. Dalsze zwrotki w późniejszym czasie podorabiane widać zostały, o czem świadczy ich układ a nawet różnica języka, która dochowała się widocznie w pierwszych znanych jej rękopisach.

Najdawniejszy z tych rękopisów pochodzi z r. 1408 i przechowuje się w bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie; — drugi warszawski z r. 1456 odszukany przez W. A. Maciejowskiego. Trzeci prawdopodobnie z kolei będzie ten, który obecnie udało się odnaleść znanemu badaczowi starożytności naszych Alexandrowi hr. Przeździeckiemu, a to w bibliotece klasztornej OO. Paulinów w Częstochowie. Niebawem ukazać się ma osobna rozprawa o tym rękopisie, który ważne mieści w sobie waryanty. I tak np. zamiast „Matko zwolona“ jak jest w dwu poprzednio wymienionych odpisach, w tym stoi wyraźnie: „Matko zbolenia“ — coby znaczyło to samo co Matko bolesna. — Dawny także ale bez daty odpis

*) Patrz *Żywot świętego Wojciecha* p. ks. Piotra Pękalskiego — Kraków — 1858 — str. 78.

„Boga-Bodzicy“ wraz z nutami posiada katedra gnieźnieńska, według którego dotąd pieśń ta śpiewywaną tam bywa, równie jak w Dąbrowie nad Warką. Odpis ten wyżej już wspomniany, mający nagłówek: *Prosa s. Adalberti*, którego i myśmy się trzymali umieszczając hymn ś. Wojciecha na czele pisma naszego, publikowany był, lubo z grubemi w odczytaniu błędami, w „Przyjacielu Ludu“ roku czwartym (1838) T. II, N. 46, wraz z oryginalną melodyą. Inne ważniejsze przedruki tego hymnu, nastąpiły w latach: 1506 (Jan Łaski) — 1543 (Stan. Lwowczyk) — 1547 (M. Bielski) — 1601 (Piotr Skarga) — 1620 (Bartł. Nowodworski) — 1819 (J. U. Niemcewicz — z muzyką, przerobioną p. Franciszka Lessla). — W ubiegłym wreszcie roku 1862 Adam Münchheimer, wziąwszy za podstawę notacyą melodyjną Lessla, przetransponował ją o ton wyżej, skrócił i przerobioną wydał wraz z textem w Warszawie u Dzwonkowskiego. Do wydania tego dołączony jest piękny chromolitografowany wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej.

Gustaw Czernicki.

OKOLICA KROSNA

(niegdyś w województwie ruskiem a ziemi sanockiej, dziś w obwodzie jasielskim.)

Z notat podróżnych Józefa Łepkowskiego.

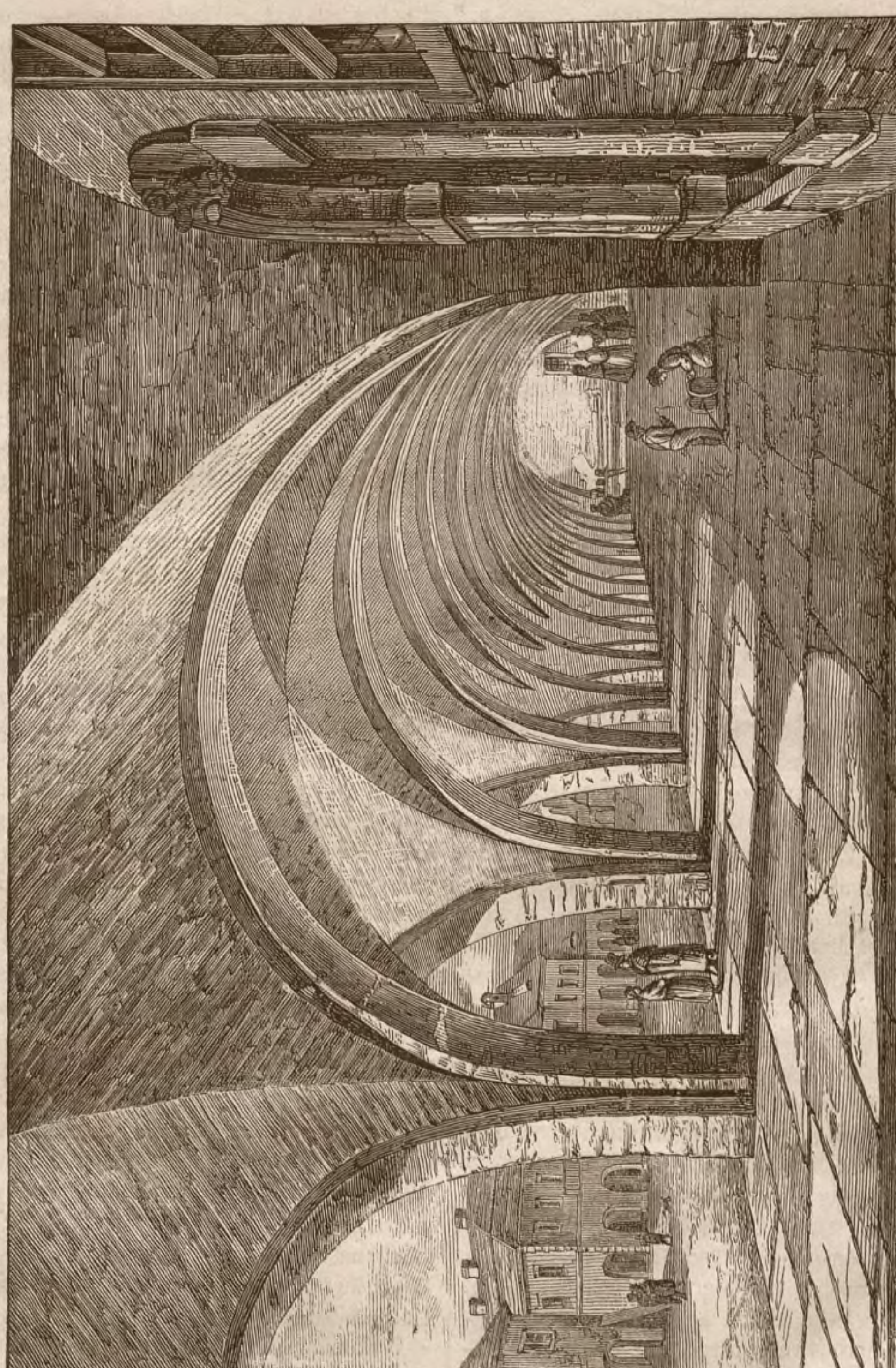
Tworząc nowe pismo, z przeznaczeniem dla szerszego koła czytelników, żądacie abym artykułem moim rozpoczął dział opisów celniejszych miejsc ojczystej ziemi. Rozumiem że Wam nie chodzi o archeologiczne studya, ani chcecie otwierać arenę dla sporów ścisłej nauki. Więc też nie pragnę gromadzić tutaj wiadomości i badań, ale wprowadzając czytelnika do bogatego niegdyś Krosna, chcę okazać: że gdzie stygnie miłość ojczystych pamiątek, tam świetna przeszłość tylko się w pusty grobowiec przemienia. Im więcej na ziemi naszej gruzów i rozwalin, tem mniej owego życia co ranę goi, buduje, a nawet mogiły kwiatem nadziei przystraja. Miłość ojczyzny wtedy jest wielką a silną twórczem życiem, gdy całą narodową spuściznę objąć podoła; gdy ciepłem swem zarówno przeszłość jak przyszłość ogrzeje. Nie wierzę w takie potęgi, co chcąc podążać naprzód, koniecznie ruinami znaczą ślady przechodu swego. To hordy dzisiejszych Tatarów. Sam Zbawca gdy światu nowy zakon nadał, nie burzył ani obalał dawnego. Na siłach przyrody okazał nam Bóg jako zima całą przeszłość lata dla najbliższej przechowuje wiosny. Jak w każdej chwilce nie zdołasz rozdzielić sekund tych co upłynęły, od owych co biegną jeszcze i w potoku czasu nadchodzących się czepiają, — tak niepodobna pojąć *jutra* bez *przeszłości*, ani też życie osobiste lub narodowe bez *wczoraj* poczynać. Przeszłość i przyszłość pracują nawzajem dla siebie, a w wyrokach bożych błogosławieństwem lub karą się wiążą, jak skoro te z pokoleń na pokolenia spływają. Zerwany łańcuch nie posłuży ci w pracy, zanim ogniw jego w całość nie połączysz. Nie myślę aby te kilka słów rzuconych tutaj pod uwagę, zbytecznemi były — potrzeba jeszcze widać przypominać aż do znużenia o czci dla przeszłości, jak skoro spotykamy na ziemi naszej miejsca, gdzie nikt się nie czuje w obowiązku, aby stare a świetne od upadku chronić. Ledwie nie na każdym kroku w podróżach po kraju wypadłoby w miejsce jeremiady nad tem co było runęło, prawić o konieczności zachowania tego co teraz się niszczy a upada. Krosno i Biecz za przykład tu przywieść można, jeśli sobie przypomnisz: że te liche dziś mieściny z Krakowem niegdyś równano w świetności — jeśli pomyślisz: że nikt się nie troszczy o to, że tam z każdą chwilą pustki i gruzu przybywa.

Zwiedzenie przed kilku laty jasielskiego rozpocząłem od wsi gdzie ten obwód z sanockiem się łączy. Chodziło mi o znalezienie granicy oddzielającej wedle dawnych podziałów

Małopolskę od ziemi sanockiej a województwa ruskiego. Granica ta biegła właśnie w okolicach Krosna i Dukli. Położenie tego kawałka Galicyi przecudne. Co krok spotkasz się z rozległemi widokami, albo z miejscowościami co na malarza czekają. Kościoły tutaj po największej części modrzewiowe. Szkoda, że co się ich budowy tycze, przekształcone, nie dochowały cech architektonicznych właściwych naszemu drewnianemu budownictwu.

Kiedy pobrzeża Wisły, których zaludnienie sięga najdawniejszych czasów, mają jeszcze zabytki piśmienne z nader odległej przeszłości, a w sandeckich górach zachowały się dokumenta od XIII stólecia; to jasielskie, ów najodleglejszy kraniec Małejpolski, jako zanadto odsunięte od Krakowa, głównego w przeszłości ogniska żywota politycznego, a do tego wystawione na napady Rusi, Tatarów, Węgrów i Szwedów, nie przedstawia pomników znakomitą zaleconych starożytnością. Nie mniej przeto są one ważne a celne ze względu na sztukę i wartość pamiątkową. Do Biecza i Krosna, dwóch najstarszych tutaj grodów, zbiegło się całe życie okolicy. Tu też zebrać można data wyjaśniające dzieje kawałka kraju o którym mówimy. Prawie wszystkie wsie około Krosna leżące są osadami niemieckiemi z czasów Kazimierza Wgo i Władysława Jagiełły. Archiwa kościołów dostarczają na to niewątpliwych dowodów. Byli to po największej części tkacze, ztąd nawet nazwa *Krosna* od *krosien* ma pochodzić. Prawdopodobnie osadnicy ci na prawie niemieckiem lokowani, pochodzić mogli z prowincyj niegdyś słowiańskich — przecież dziś jeszcze są tu chłopskie rodziny zdradzające nazwiskami obce pochodzenie. Spotkałem tutaj: Bachmanów, Bergelów, Feiklów, Gemsów, Glasarów, Heusnerów i inne podobne nazwiska wieśniaków. W mowie ich usłyszysz wyrazy: *bruslik* za stanik, *manta* zamiast płaszcza, *szesterką* zwią siostrę męża, *Gaistag* zielone świątki etc. Przecież mimo to, w ogóle, lud tu pięknie mówi, wymawiając wyraźnie *cz, sz, rz, ę, ł*. Jak wszędzie na zetknięciu się narzecza ruskiego z językiem polskim, tak i tutaj mowa chłopów jest prawie piśmienną, wolną od prowincyonalizmów. W okolicach Odrzykonia tak cię uderzy czystość wymowy, że ci się zda, iż chłop ztamtąd to człowiek wyższego świata pod siermięgą ukryty. Jak silnym a pełnym życia był i jest nasz pierwiastek narodowy, widoczne na tych oto koloniach. Przypuśćmy że to nawet nie słowiańskie, ale czysto niemieckie były osady — gdzież tu dziś niemczyzna? Ślady tylko zapalony etymolog wyśledzić może. Dla tych panów przecież nawet tam się znajdzie materyał do świetnych kombinacyj, gdzie już nikt inny prócz nich na domysł zdobyć się nie zdoła. Widzą oni i tutaj w płowych włosach kobiet i chłopów tacytowskie *flavi capilli Germanorum*, w czółkach zdobiących głowy niewiast i w ich kubraczkach upatrują dotrwałe niemieckie stroje. Być to wszystko może — podobne jednak domysły wzięte na szeroką miarę, a do tego oparte tylko na etymologii samej ciągnącej się jak pajęcze włókno, dochodzą często do uczonych pomysłów, wydających w ostatecznym razie mądre... absurda. Są przecież, co łaciński wyraz *publicum* wywodzą od naszego *poobliczność*, *motivum* od *motek*, a naszą *hołotę* z greckich *Hellotów*. Na tej drodze, z pomocą fantazyi i erudycyjnej ułudy, głupstwo z nadzwyczajną szybkością w mniemany rozum się przedzierzga. Wywody takie używane bez hamulca rozsądku, do chorób naszego czasu policzyć wypada. W wielu okolicach nawet epidemicznie rozszerza się zaraza etymologicznych konjektur. Spotkałem się z nią w tych tu stronach, więc mimo chęci i mnie pisać w tym przedmiocie przyszło. Z tem wszystkiem sprawa kolonistów krośnieńskich bardzo jasno się przedstawia. Najczęściej nawet wyraźnie wymieniono w dokumentach, iż potrzeba zaludnienia spustoszonego przez Tatarów kraju wymagała sprowadzenia kolonistów. Tych osadzał najwięcej Kazimierz Wielki. On w Małej Polsce pewno na każde 300 wsi z jakie 200 lokował.

Sołtystwa, właściwie lokacye wsi na obcem prawie, są u nas instytucyą z Zachodu przejętą. Najwcześniej ukazują się w Polsce takie nadania w końcu XII wieku. Dały im początek klasztory, gdy cudzoziemscy mnisi swoich ściągali dla uprawy pustych pól i karczowania lasów. W wschodnich ziemiach dzisiejszej Galicyi, sołtystwa, wójtostwa, wybraniectwa, są rzadkie — w zachodnich częstsze. Kolonizacya niemiecka idzie w Galicyi od zachodu ku wschodowi — ruska od wschodu i południa — wołoska od wschodu. Że królowie u nas a książęta na Szląsku w XIV wieku, po napadach tatarskich, najwięcej założyli kolonij, więc



Podcienia w Kraśnie.

Podtatrze najpóźniej osiedlone, a klęską tą srodze dotknięte, przedstawia też najróżniejszą mozaikę osad z wielorakich narodowości złożoną. Są tam kolonie: Niemców, Tatarów, Szwedów, Rusinów, Wołochów, a nawet żydowskie z czasów cesarza Józefa IIgo. Lokowano te dawne osady na prawie teutońskiem, z bliższem jego określeniem na magdeburskiem, frankońskiem, szwedzkiem i chełmińskiem, lub też na zwyczajowem ruskiem, wołoskiem i ormiańskiem. Wołochy osiadały u nas za czasów obu Zygmuntów Jagiellonów. Kolonie ich najczęstsze są wśród Rusi (osobliwie w Sanockiem) a sięgają aż do okolic Żywca. Miasteczek na prawie wołoskiem nie osadzano — przywilejów lokacyjnych wsi wołoskich znamy przeszło 50. Osady z brańców wojennych, jak w Podtatrzu z Tatarów, a w Jasielskiem ze Szwedów, były poddańcze. Do istniejącej wsi przydzielano tych jeńców lub ich na dziczyznie zostawiano.

Pomijając dalsze wiadomości o rodzajach kolonij u nas, dodamy: że owe osady z czasów Kazimierza Wielkiego, z jakiemi spotkaliśmy się w okolicy Krosna, najczęściej nie stanowiły osobnych gromad, ale zwykle osadników do dawniej istniejących wsi włączano, najczęściej jako rzemieślników. Nie oni więc nadawali okolicy obyczaje i strój, ale je wraz z mową przejmowali, jak to dowodzi okoliczność: że niema tu osady, gdzieby się chłopi kolonistami czuli i nazywali. Zdaje nam się że takie wmięszanie między ludność polską na wielkich obszarach kilkudziesięciu tysięcy Niemców, było tem dla postępu rękodzieł, przemysłu i cywilizacyi rolniczej, czem jest dla stanu zdrowia ospy szczepienie...

Co się tyczy odcieni między ludem, te łatwo dostrzedz, uważając kilka wsi razem i różnice ich od innej znów takiej osad gromadki. Badając strój, obyczaje i naturę a pochodzenie podań, do ciekawych dojśćby można rezultatów. W niektórych okolicach studyował gromady takie Pol, a nazwał je osobnemi rodami, stanowiącemi grupy w całych znów plemionach. Pilna to praca w tym kierunku. Koleje żelazne, służba w wojsku i inne wpływy, zacierają właściwości narodowe wyróżniające chłopów z różnych okolic. Nawet strój często już zastępuje się kosmopolitycznym płaszczem, a różnorodzajowe czapki w kaszkiet się zmieniają. Gdyby w każdej okolicy dziedzic z księdzem opisali wieśniaków swoich, zebrali ich zwyczaje, zabobony, podania, pieśni i właściwe miejscowości cechy, a strój dali przedstawić w obrazku, mielibyśmy ważną i piękną pracę zbiorowemi siłami łatwo wykonalną. Towarzystwo naukowe krakowskie mogłoby być punktem środkowym jednoczenia materyałów takich. Za lat 15, 20, będzie już może nieco zapóźno, a w każdym razie trudniej, zająć się pracą podobną.

Gdym się przekonał w czasie tworzenia przed kilku laty krakowskiej wystawy starożytnych zabytków, że przy dobrej woli i wytrwałości do pożytecznego a narodowego celu nadzwyczaj łatwo u nas siły zespolić; wtedy już powziąłem żywioną dotąd myśl urządzenia wystawy etnograficznej polskiej. Byłoby to zarazem wspaniałe muzeum mogące stale pod opieką instytucyi jakiej pozostać. Zrealizowanie myśli tej wcale nietrudne, gdyby Towarzystwu naukowemu krak. przyszły w pomoc inne rolnicze i naukowe zgromadzenia na ziemiach dawnej Polski istniejące. Nie każda przecież wieś wyróżnia się strojem chłopów. Ubiory jednego kroju i barwy noszone są często w całych okolicach znacznych obszarów. Więc nie na każdego dziedzica przypadłoby posłać stroje wieśniacze; ale kilku, nawet kilkunastu składać by się mogło na zakupienie i ofiarowanie naszemu Towarzystwu powszechnego w jakiej okolicy ubioru mężczyzny i kobiety. Opisy nadesłane, gromadziłyby zarazem ten cenny naukowy materyał o którym co dopiero wspominałem. Niewielkim więc kosztem przyszlibyśmy do wspaniałego zbioru. Wystawmy sobie taką np. górną salę Sukiennic krakowskich, w którejby rozwieszono na ścianach dekoracyjnie malowane charakterystyczne krajobrazy ziem ojczystych — pod każdym ustawiłoby się grupy włościan, manekeny w ich stroje ubrane — obok nich właściwe okolicom wyroby i rolnicze szczególniejsze przyrządy. Estetycznie ubrana i artystycznie grupami temi zaludniona sala, przedstawiłaby uczący obraz wszystkiego ludu naszego. Byłaby to pieśń o ziemi naszej stworzona w żywej prawie postaci. Wystawa taka łącząca prowincyonalizmy, w stałe muzeum zmienićby się mogła.

Wykonanie myśli tej łatwe, więc rzucam ją, pewny że dojrzeje kiedyś, gdy chętnych znajdzie popieraczy. Może już uroczystość Piastowego tysiącolecia wystawą taką obchodzić by można... Etnograficzne zbiory tworzą się teraz przy

wszystkich prawie europejskich muzeach. Aleź... wzmianka o osadach i koloniach jasielskiego obwodu za nadto oddaliła nas od przedmiotu artykułu niniejszego — wracam więc w okolice Krosna, zkąd wybiegłem na szerokie pole etnografii ojczystej.

Biecz, dawniej bogaty gród, dziś jakby dla wylegitymowania się tylko z świetnej przeszłości, ma wielki ostrołukowo zbudowany kościół z znakomitym obrazem wystawiającym namaszczenie Chrystusa Pana, kilka pięknych pomników kasztelanów bieckich, niezłe rzeźby, stale, pulpit z XVI wieku, portret i nagrobek Kromera, dom tego zasłużonego męża, strażnicę miejską, szczątki baszt, murów i okopów — wreszcie wieżę po dawnym ratuszu, grodzisko odwiecznego nego zamku, i klasztór Reformatów z starościńskiego zbudowany domu To wszystko jak szkielet opadły z ciała, stoi wśród nędznych strzech zlepionych z wspaniałych niegdyś domów. Królewskie fundacye, jak uposażenie szpitala przez Jagiełłową Jadwigę, stały się teraz źródłem jałmużny dla mieszczan. Rynek zarosły trawą, mury i wały razem z domami zsuwają się do Ropy. Jeźli tu przyjdzie komu myśl podparcia gruzów, to restauracya tylko znów o moralnem ubóstwie poświadcza.

Krosno niegdyś dla świetności w Rzeczypospolitej słynne, nie o wiele lepiej teraz wygląda jak wtedy, gdy w roku 1765 po wojnie szwedzkiej opisywano w lustracyi smutny stan jego upadku. Ruiny i rudery ledwo dziś dla studyów archeologicznych przydać się mogą.

Rynek otaczają murowane, sklepione, jednolicie zbudowane podcienia (obacz drzeworyt). Korytarze te rozwijające się dziwnie pięknie w perspektywicznym załączonym tu rysunku, przypominają Sukiennice krakowskie. W jednej połaci rynku mają one przeszło 130 łokci długości, a 9 do 10 szerokości. Obiegają czworobok cały. W wielu miasteczkach galicyjskich spotkać się można z szczątkami podcieni takich — drewniane są pospolite nie tylko w rynkach ale nawet po ulicach. Kraków miał podcienia w okół rynku, z czego jako ślad pozostały otwory do piwnic na chodniku południowej połaci. W rynku tarnowskim jest kilka domów z dawnemi murowanemi podcieniami. Kolumnady takie należą do charakterystycznych cech miast polskich, których handel był tylko chwilową targowicą podczas jarmarków. Wtedy zbierała się ludność do miast, kiedyindziej rolnictwem zatrudniona,— po takim pełnym życia zjeździe milczał znów długo pusty rynek, jak teraz milczy pustką wyludnione i spustoszałe Krosno.

Do środka XVIIgo wieku była tu stolica biskupów przemyskich, a 6 kościołów zdobiło miasto.

Prócz kilku obrazów staroniemieckiej szkoły i znakomitego malowania w ołtarzu kaplicy Oświęcimów, wiele tu jeszcze marmurowych pomników, pięknych rzeźb i ornamentów na świadectwo dawnego bogactwa zostało. Są nagrobki Kamienieckich, Firlejów i Skotnickich dziedziców pobliskiego zamku Odrzykonia. Wiele ocalało pamiątek po Szkotach Porciuszach tutejszych mieszczanach i po Oświęcimach rozsławionych miłosną legiendą. Podanie wiele też zachowało wspomnień o Bonie. Tradycye te stwierdza przysłowie: „Stroi Bona Firleje“, gdy Firlejów Odrzykoń prawie tuż za miastem. Pamiątki po Oświęcimach podniósł Szajnocha w uczonych rozprawach swoich, ksiądz Ujejski Odrzykoń opisał, a Goszczyński znalazł tutaj materyał do poetycznej powieści.

W magistracie krośnieńskim znajduje się około 50 oryginalnych przywilejów, nadawanych miastu temu od Władysława Jagiełły począwszy. Są przywileje wielu istniejących tu dawniej cechów, listy dowódców w czasie przechodów wojsk do rajców pisane, listy ławników do obywateli, listy królów do miasta w sprawach wewnętrznych, politycznych i sądowych — te ostatnie począwszy dopiero od Zygmunta Starego. Dalej, w pięknym a porządnym zbiorze dochowane księgi akt: sołtysich, radzieckich, ławniczych i wyroków — te od XVI stólecia. Archiwum fary ma wiele dokumentów wyjaśniających dzieje miasta i daty oraz opisy istniejących tu dawniej kościołów i szpitalów. Wreszcie jest tam nader ważna księga po łacinie na dwustu arkuszach in folio spisana, zawierająca akta bractwa kapłańskiego *(Archiconfraternitas sacerdotalis)*. Akta te sporządził w roku 1691 ks. Feliks Moliński. Spisał kopije istniejących za jego czasów przywilejów, dotacyj kościołów krośnieńskich, i do 50 innych dokumentów okolic się tyczących, a mianowicie wsi i kościołów w jasielskiem i sanockiem, gdzie były ołtarze księżego bractwa. Taż księga zawiera ciekawe (a godne wskrzeszenia) statuta bractwa, protokóły posiedzeń (od roku 1448), kronikę

biskupów przemyskich od r. 1377 aż do czasów piszącego kapłana. Słowem, w księdze tej jest spisana kronika Krosna i okolicy. Praca olbrzymia dokonana przez jednego księdza. Celem owego bractwa była wzajemna między duchownemi propaganda religijna, niesienie sobie moralnej i materyalnej pomocy, wreszcie karcenie się wzajemne w razie wykroczeń. Myśl konfraternii zasługiwałaby na jej odżywienie, a z pracy poprzedników skorzystaćby należało i dalej ją prowadzić.

Magistrat biecki nie wiele dochował oryginalnych dokumentów — część z nich jest dziś w bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego. Przecież prócz pomników piśmiennych podobnej treści jak wymienione krośnieńskie ławnicze i radzieckie, posiada Biecz księgę kopij nadań, prerogatyw i swobód swoich. Księga ta zaczyna się od r. 1303 a kończy na 1642. Jest tu prócz nadmienionych piśmiennych pomników, przywilej Zygmunta Augusta uwalniający Kromera i rodzinę jego od podatków z domu posiadanego w Bieczu — nadto zapis tego naszego historyka stypendyum dla mieszczan bieckich wychowujących się w akademii krakowskiej, wreszcie wypis z jego testamentu. Archiwum znów klasztoru Reformatów bieckich ma księgę rękopiśmienną, ciekawy zabytek dla historyi zakonu.

Aleź na co mi wyliczać to wszystko, kiedy nie zamierzyłem tutaj podawać zebranych w podróży wiadomości, ani chcę z umysłu wdawać się w badania i szczegółowe studya. Chodzi mi tylko o wskazanie: że cała ta przeszłość takich oto Bieczów i Krosien, zerwała się z teraźniejszością — nikt nie chce uważać się za dziedzica tej spuścizny — nikomu, a przynajmniej mało komu, chodzi o to: czy drogie nam zabytki walą się i niszczą, lub też czyli je umiejętnie od zagłady chronią. Pono najlepszy jeszcze ten co żale Jeremiaszowe nad ruinami zawodzi. W Towarzystwie naukowem nie odbieramy wezwań iżby ratować co się obala, konserwator nie bywa o zdanie względnie odnowy wzywanym, o składkach i o opiece obywatelskiej owych zabytków nie słyszymy wcale; nawet po dziennikach rzadko kiedy odezwie się kto głosem żebrzącym ogólno krajowej pomocy. Nie zdarzyło nam się także dowiedzieć żeby konsystorze starały się o oświecenie duchownych: co i dla czego ważne pod względem sztuki i pamiątki, jak zabytki ratować? A przecież takie archeologiczne skazówki są gotowe oddawna, wydane przez arcybiskupie i biskupie stolice francuskie i niemieckie — zastósować je tylko do pomników naszych wypada. Centralna komisya dla zachowania zabytków za daleko, bo w Wiedniu — w kraju jeden konserwator tylko — działanie Towarzystwa naukowego nie podsycane środkami, zmuszone ograniczyć się ledwo na Krakowie. Gdzież więc rada? Oto w rozbudzeniu najpierw zamiłowania do pamiątek ojczystych i zabytków sztuki, w zainteresowaniu niemi ogółu, który poczuć się powinien do obowiązku utrzymania wspólnemi siłami pomników przeszłości. Każdy obwód mieć może i powinien obywatela, coby w tym kierunku działał, a gromadził chętnych koło siebie. Towarzystwo naukowe krakowskie, Zakład Ossolińskich, Konserwator zabytków pomnikowych i fachowi znawcy, nie odmówią pomocy. Zabytki mają wartość religijną, ojczystą i naukową ze względu na sztukę; więc godzi się i potrzeba wszelkie uczucie poruszyć, aby ogół miłością znów z niemi połączyć. Temi drogami dokazano już wiele, postęp widoczny — więc tylko gorących serc potrzeba, a czasy nasze nie przymnożą ruin potomnym. Redakcya pisma niniejszego upoważnia mię do oświadczenia w jej imieniu: iż przyjmować będzie artykuły zmierzające do obudzenia wskazanego temi uwagami naszemi kierunku.

KRÓL CZY SAMOZWANIEC?

Kartka do historyi francuskich Burbonów.

W roku 182. sprowadził się był ze Spandau do Brandenburga człowiek mający około czterdziestu lat, żonę i dwoje młodziutkich jeszcze dzieci. Był to zegarmistrz, jak się niebawem pokazało bardzo biegły w swojem rzemiośle; — przytem odznaczał on się grzecznością,

uprzejmością, wykształceniem wyższem nad swój stan, i hojnością względem ubogich;— używał zresztą najlepszej opinii, na którą sobie jeszcze w Spandau zasłużyć umiał.

Człowiek ten zwał się Ludwik Naundorf, posiadał niewielki mająteczek i niedługo po tymczasem dużo go kosztował i nie pozwalał mu nabytej realności objąć w posiadanie. — Mieszkał więc tymczasowo u tamtejszego pocztmistrza; — a że jako mało jeszcze znany w mieście nie wiele miał roboty, więc nieraz bieda dawała mu się we znaki.



Jam jest Ludwik XVII, prawowity król Francyi! (do str. 16.)

przybyciu po Brandenburga kupił sobie tam kamieniczkę. — Ale nabytek ten nie poszedł mu na rękę, gdyż właśnie z powodu tego kupna, na które większą część swego mienia wyłożył, wplątał się w proces, który wprawdzie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa pomyślnie dla niego powinien się był zakończyć, ale który

Tymczasem po mieście dziwne obiegały pogłoski o zegarmistrzu Naundorfie. Gdzie on się urodził, czem był dawniej, nikt nie wiedział, gdyż sam nigdy się z tem nie wygadał, — a gdy się go kto o to zapytał, nie widać było na nim niepokoju nieczystego sumienia, — owszem, oczy jego błyszczały wtedy

jaśniej i przybierały wyraz powagi a nawet dumy, ale odpowiadał zawsze, że ojciec jego nazywał się Wiliam Karol Naundorf, że był rodem z Wejmaru, i że już od dawna nie żyje. Papiery zegarmistrza były w porządku, nie było więc najmniejszego powodu powątpiewania o prawdzie jego pochodzenia.

Mimo tego człowiek ten był ciągłą zagadką dla poczciwych Brandenburczyków. Dowiedziano się z czasem że on w r. 1810 przybył do Berlina, zkąd we dwa lata później przesiedlił się do Spandau. Magistrat tamtejszy nie chciał go przyjąć za obywatela, ale za szczególném staraniem prezydenta policyi berlińskiéj pana Le Coq, Naundorf dopiął swego i został obywatelem i majstrem w Spandau. W roku 1818 ożenił się z ubogą ale piękną Joanną Einert, córką obywatelską, pisywał listy do osób wysokie zajmujących stanowisko we Francyi, na które nigdy nie otrzymywał odpowiedzi, a niekiedy odwiedzali go oficerowie francuscy, wracający z rosyjskiej niewoli. Raz nawet jeden dziennik rządowy francuski raczył wspomnieć nazwisko Naundorfa, utrzymując, że on jest żydem rodem z Poznańskiego, — na co minister pruski oficyalnie odpowiedział, że rząd pruski nie widzi śię bynajmniej spowodowanym do potwierdzenia tej wiadomości. — Czyż tego wszystkiego nie dosyć, żeby małe miasteczko tonęło jakiś czas w rozmaitych domysłach o swoim nowym współobywatelu?

Tymczasem człowiek który stał się celem ogólnej ciekawości, żył nader skromnie w domu pocztmistrza.

Było to w jakiś czas po przybyciu tej rodziny do Brandenburga. W małej, prawie ubogo wyglądającej izdebce siedział Naundorf przy stole na którym rozłożone były narzędzia do jego rzemiosła służące. W prostym ubiorze rzemieślnika wyglądał on młodziej nad swoje lata. Był wzrostu średniego, pięknie zbudowany; twarz jego obok szlachetnych rysów miała wyraz pełen godności i uprzejmości, nad któremi jednak spoczywał cień głębokiej melancholii, której źródła szukać trzeba było już to w trosce o obecne niezbyt pomyślne położenie rodziny, już to w jakiejś uporczywie go trapiącej a silnie tajonej myśli, z którą dotąd otwarcie wystąpić nie mógł. Twarz ta zresztą, z niebieskiemi oczyma, otoczona długiemi puklami wijących się blond włosów, miała w sobie coś łagodnego i budzącego zaufanie, ale obok tego nie odznaczała się wcale siłą charakteru ani bystrością.

Naundorf siedział w tej chwili bezczynny, z głową na ręce wspartą; zdawał się być głęboko zatopiony w dumaniach, a od czasu do czasu westchnienie wyrywało się z jego piersi.

W drugiej obok izdebce głośniej było i weselej. Dwoje dzieci, jedno dwu, drugie trzechletnie, hałasowało tam, niewyraźne jeszcze składając wyrazy. Czasami dawał się słyszeć miły głos kobiecy, łagodnie napominający swawolników.

Po chwili otwarły się drzwi, i kobieta młoda i piękna, w skromnym ale czystym stroju mieszczanki ukazała się w warsztacie zegarmistrza.

Widząc męża tak smutnym posmutniała sama, podeszła ku niemu z cicha, położyła lekko rękę na jego ramieniu, a kiedy zbudzony z marzeń obejrzał się nagle, ona pełnym miłości wzrokiem popatrzyła mu w oczy.

— Znowu cię obsiadły te nieszczęśliwe myśli, Ludwiku, rzekła ze smutkiem w głosie, chociaż uśmiechać się usiłowała. Nie mogąż ci wystarczyć do szczęścia żona i dzieci?

On wpatrzył się w nią na chwilę osłupiałym wzrokiem, poczem łagodny ale smutny uśmiech wystąpił na twarz jego.

— O tak, jam szczęśliwy Joanno, odparł po chwili, bardzo szczęśliwy, dopóki ciebie mam przy sobie. Ale pęka mi serce, gdy patrzę na nędzę twoję i naszych dzieci, — kiedy....

Tu urwał i westchnął głęboko.

— Daj temu pokój — rzekła kobieta łagodnie — czyż sądzisz że osiągnięcie celu twoich życzeń nie byłoby nieszczęściem dla naszego związku?.... Cóż wtedy stałoby się ze mną, co z dziećmi?....... ty musiałbyś się z nami rozłączyć.

— Nigdy! zawołał Naundorf.

— A jednak toby się stać musiało, choćbyś nie chciał, — mówiła dalej Joanna, i czoło jej okryła chmura smutku. — Pomnij tylko na cesarza Napoleona, który odepchnął od siebie ukochaną Józefinę, chociaż ona razem z nim wzniosła się tak wysoko.

Zegarmistrz nic nie odpowiedział, tylko objął żonę wpół i przyciągnął ją do siebie; myśli jego tymczasem daleko gdzieś błądziły.

— Żadnego listu! — westchnął po chwili. —

Cztery lata ubiegły jak pisuję nadaremnie do siostry i do stryja w Paryżu. Jak to tron oziębia serca ludzkie!

I zakrył twarz rękoma, a pierś jego wznosiła się ciężkim oddechem.

— Ludwiku, — prosiła go żona ze łzą w oku, — uspokój się, zapomnij przeszłości i porzuć śmiałe swoje plany, które nam na dobre nie wyjdą. One cię jeszcze rozumu pozbawią!

— To nie są awanturnicze plany, Joanno; ja tylko dopominam się o moje prawa, prawa najświętsze i najnietykalniejsze; — ja chcę tylko aby mię moja rodzina za swego przyznała. Bóg widzi, nie jestem wcale ambitnym. Nie sięgam po koronę, która mi się z prawa należy, ale która za ciężką byłaby na moję głowę; nie przyjąłbym jej choćby tylko ze względu na dzieci i na ciebie. Ale gorzki ból rozdziera mi serce, kiedy po tylu nadludzkich prawie cierpieniach odpychają mię od siebie nawet ci, w których żyłach ta sama krew moich nieszczęśliwych rodziców płynie, a nawet piętnują mię mianem „oszusta!“

I nieszczęśliwy począł łkać z cicha, głuchy na słowa pociechy ukochanej żony. Dopiero gdy Joanna przyniosła młodsze z dzieci, a mała dziewczynka z uśmiechem wyciągnęła ręce ku niemu i wyszczebiotała jego imie, popatrzył na nią i opamiętał się Naundorf.

— Tak, prawda, rzekł, ja mam obowiązki dla was. Nie ujrzycie mię już nigdy płaczącym; będę pracował dla was, a los mój złożę w ręce Boga — niech się dzieje Jego wola. Prawda może przecież kiedyś na wierzch wypłynie.

Wziął dziecko na ręce, ucałował je, żonę ścisnął za rękę z uczuciem, poczem wziął się do naprawiania zegaru, a Joanna z dzieckiem odeszła po chwili do drugiego pokoju.

Naundorf jednak był widocznie słabym człowiekiem i nie mógł długo wytrwać przy powziętem postanowieniu, gdyż podobne sceny podczas czteroletniego szczęśliwego zresztą pożycia jego małżeńskiego nieraz się ponawiały. — To też i wtedy twarz jego niebawem przybrała znów wyraz smutku i świadczyła wyraźnie, że na nowo zapadł głęboko w zwykłe dumania.

Nie upłynęło pół godziny od rozmowy którąśmy wyżej opisali, gdy wtem dały się słyszeć szybkie kroki męskie i drzwi do pokoju zegarmistrza otwarły się z trzaskiem. Pocztmistrz u którego mieszkał zegarmistrz, człowiek już w wieku i poważnej powierzchowności, wraz z drugim mężczyzną w mundurze urzędnika policyi weszli bez ceremonii, zaledwie skłoniwszy się zlekka Naundorfowi, który zmięszany nieco powstał za ich wejściem.

— Oto jest Naundorf, panie komisarzu, — rzekł pocztmistrz wskazując na swego lokatora.

— Pan jesteś zegarmistrz Ludwik Naundorf? — zapytał urzędnik surowo.

— Tak jest, — nigdym się przecież swego nazwiska nie wypierał, — odparł ze zwykłą sobie godnością zegarmistrz, którego znalezienie się obu przybyłych niecierpliwić poczynało.

— A więc zechcesz Pan udać się ze mną — rzekł komisarz, któremu postawa Naundorfa mimowolnie imponowała.

— Dokądże to, jeżeli wolno zapytać?

— Do kryminalnego aresztu — odrzekł urzędnik sucho.

— Do kryminalnego aresztu! — zawołali razem z przerażeniem zegarmistrz i jego żona, która z dzieckiem na ręku ukazała się była w progu, słysząc głośną u męża rozmowę.

— Miałżebyś niewiedzieć z jakiego powodu? — zapytał prawie szyderczo urzędnik.

Zegarmistrz przez chwilę stał osłupiały, jakby zmięszany tem zapytaniem, a Joanna zawołała:

— Widzisz Ludwiku, jam ci mówiła, że to prędzej czy później tak się zakończyć musi!

Obydwoje mieli na myśli listy pisywane do Francyi.

— Pomięszanie tego człowieka i słowa jego żony są już poniekąd przyznaniem się do winy — rzekł komisarz do pocztmistrza, który choć z widocznym żalem, skinieniem głowy przytaknął jego słowom.

— Przykro mi bardzo, panie Naundorf, mówił pocztmistrz, ja pana dotąd miałem za porządnego człowieka, — a tymczasem...

— Ale o cóż jestem obwiniony? zawołał Naundorf prawie z rozpaczą.

— Czyż pan nie byłeś wczoraj przed południem w moim pokoju i nie płaciłeś mi czynszu za ostatni kwartał? — zapytał pocztmistrz poważnie.

— Tak jest, byłem.

— Czy biórko moje nie stało otworem, i czyż nie zostawiłem pana w pokoju samego przez kilka minut, kiedy mnie córka wywołała?

— Tak jest, tak było rzeczywiście — odparł Naundorf uspokojony nieco z jednej strony, choć z drugiej zdziwiony coraz bardziej.

— Otóż w jednej z szuflad w otwartem biórku było dwieście talarów w obligacyach kasowych, które mi właśnie zginęły, a pamiętam doskonale, że po panu nikt u mnie od wczorajsza nie postał.

Naundorf pobladł jak trup i słowa nie mógł wymówić. Żona jego tymczasem z gniewem i groźbą w oku posunęła się ku pocztmistrzowi:

— Jakto! i pan śmiesz mego męża o tę kradzież posądzać?... Mego męża!... Panie!...

Pocztmistrz zżymnął tylko ramionami, a policyant stanął między nim a gniewną kobietą. Twarz Naundorfa zdradzała w tej chwili gwałtowną walkę; to bladł, to czerwieniał na przemiany, aż po chwili uspokoił się nareszcie, wyprostował się, spojrzał dumnie na pocztmistrza i komisarza, i głosem pełnym nieopisanej powagi i uroczystości zapytał:

— Moi panowie! Czy wiecie kogo posądzacie o kradzież?...

— Wiemy, wiemy, kochanku, rzekł komisarz, tymczasem chodź tylko ze mną, a przed sądem dopiero będziesz gadał. — Jeżeliś niewinny, włos ci z głowy nie spadnie.

— Zapytuję was po raz drugi, czy wiecie na jakie imie rzucacie hańbę podejrzenia o kradzież, moi panowie! zawołał Naundorf podnosząc głos i dumniejąc jeszcze bardziej. — A więc ja wam to powiem: Jam jest Ludwik Karol Burbon, z domu Kapetów — jam Ludwik XVII prawowity król Francyi, syn nieszczęśliwego Ludwika XVIgo!

Tyle było godności w głosie i postawie rzemieślnika, który te słowa wyrzekł, że pocztmistrz przerażony cofnął się ku drzwiom, i z widocznym strachem poglądał ku komisarzowi. Ten atoli nie tak łatwo dał się zmięszać, i zwracając się ku pocztmistrzowi zapytał zimno:

— Czy ten człowiek okazywał już dawniej ślady pomięszania zmysłów?

— Nigdy! wyjąknął zapytany.

— Musisz nas pan mieć za bardzo głupich — rzekł tedy komisarz do Naundorfa, kiedy myślisz, że podobne kłamstwa mogą cię wybawić od więzienia. Owszem pogorszyłeś jeszcze swoję sprawę, gdyż będę musiał oskarżyć cię o bezwstydne podszywanie się pod nazwisko i tytuł, do którego nie masz żadnego prawa. A teraz proszę ze sobą.

— Nie myślę się opierać — odrzekł zegarmistrz, który zdawał się w tej chwili żałować już poprzedniego oświadczenia swojego, — ale powtarzam, że to co powiedziałem jest prawdą. Wysoko położone osoby w waszym nawet kraju mogłyby pochodzenie moje potwierdzić gdyby chciały. W każdym jednak razie odwołam się do ich świadectwa.

Joanna tymczasem bez sił padła w krzesło i łkała głośno. Naundorf zbliżył się do niej i rzekł spokojnym, chociaż nieco drżącym głosem:

— Uspokój się moje dziecko. Prawda musi zwyciężyć, a my dzięki Bogu ze spokojnem sumieniem możemy oczekiwać tej chwili. Zmuszono mię do wypowiedzenia mego prawdziwego nazwiska — odtąd będę umiał go bronić.

Biedna kobieta była bliską omdlenia. Naundorf ucałował ją, potem oboje dzieci, i odszedł nie tracąc ani na chwilę spokoju i pewnego rodzaju dumy, którą przybrał od chwili przyznania się do królewskiego pochodzenia.

Zaprowadzono go natychmiast do policyi, gdzie mimo przestróg i pogróżek utrzymywał że jest Ludwikiem Burbonem. — W kilka dni później rozpoczęło się sądowe dochodzenie, podczas którego stale trwał przy swojem oświadczeniu.

Tutaj musimy rzucić kilka słów objaśnienia z dziejów Francyi.

Ludwik XVI, pod którego rządami wybuchła wielka rewolucya francuska, miał z Maryi Antoniny arcyksiężniczki austryackiej troje dzieci: późniejszą księżnę Angoulême, Ludwika Karola i Karola Ludwika. Ten Karol Ludwik urodził się był 27 marca 1785 i nosił tytuł księcia Normandyi aż po r. 1789, w którym brat jego starszy umarł a on został delfinem. Odtąd też rodzice nie nazywali go już Karolem ale Ludwikiem.

Wiadomo powszechnie jak srogo los obszedł się z tą nieszczęśliwą rodziną królewską, która odpokutować musiała za grzechy wszystkich przodków swoich, — jak nie udał się jej zamiar ucieczki do Varennes, — jak ją lud stolicy zbezcześcił, — jak wreszcie osadzona w więzieniu

Temple wśród najpodlejszych złoczyńców, i przed trybunałem narodowym oskarżona została. Głowy króla i pięknej królowej padły pod toporem gilotyny; późniejsza księżna Angoulême odzyskała wolność w roku 1795, a w roku 1814 i nareszcie powtórnie w 1815 wróciła do Paryża.

Karol Ludwik, czyli jak go później nazywano Ludwik Karol, doznał okropniejszego jeszcze może niż jego rodzice losu. Ośmioletnie dziecko, oderwany od macierzyńskiej piersi i oddany został szewcowi nazwiskiem Simon, znanemu ze srogości, gburowatości i zaciekłości jakobińskiej. To stało się w czerwcu 1793 roku, a nieszczęśliwy delfin, który przedtem był dzieckiem zdrowem i żywem, w najokropniejszy sposób traktowany przez swego majstra, wkrótce zachorzał i prawie ogłupiał. Szczęściem dla niego, Simona głowa także spadła pod gilotyną, a konwent osadził Ludwika znowu w Temple, gdzie lepiej się z nim obchodzono, ale dziecko tak już było schorzałe i zahukane, że zupełnie mówić przestało.

W lutym 1795 zachorzało mocniej, tak, że lekarza przywołać musiano. Konwent otrzymał następujące o tem doniesienie:

„Od niejakiego czasu syn Kapeta cierpiał na puchlinę w kolanie i w wielkim palcu lewej ręki; 15 floreala (20 kwietnia) powiększyły się cierpienia, chory stracił apetyt i przystąpiła gorączka. Wezwaliśmy więc sławnego lekarza Désault, aby go obejrzał i leczył. i t. d.“

Ósmego czerwca 1795 roku umarł delfin, a ciało jego pogrzebane zostało na cmentarzu ś. Małgorzaty.

Tak brzmiały urzędowe doniesienia, ale dziwne okoliczności towarzyszyły temu wypadkowi, i już wówczas budziły niedowierzanie w publiczności. Szeptano sobie na ucho, że to podstawione w miejsce delfina dziecko umarło, a on uciekł. Nawet właśnie w tym czasie konwent kazał był w rozmaitych stronach Francyi pochwytać mnóstwo dzieci, które później wszystkie wypuszczono na wolność.

Lekarz Désault, który z razu leczył był delfina, 4go czerwca umarł nagle, a w pięć dni później podobną śmiercia skonał aptekarz, od którego brane były lekarstwa. Wychowaniec doktora ratował się ucieczką i miał potem powiadać, iż Désault umarł dla tego, że nie chciał otruć delfina, i że za życia utrzymywał, że dziecko powierzone jego staraniom nie było delfinem. Dwaj lekarze, którym potem kuracya powierzona była, nie znali delfina, a poświadczenie śmierci podpisało tylko dwóch ludzi niskiego stanu. Oględziny i sekcya ciała wykazały skrofuliczne cierpienia, których delfin nigdy przedtem nie doznawał.

Te okoliczności stały się powodem, że później znalazło się kilku oszustów, którzy się za syna Ludwika XVI podawali, ale wszyscy odkryci i ukarani zostali. Tajemnica jednak sama do dziś dnia nie jest wyjaśniona.

Zegarmistrz Naundorf, który utrzymywał także że jest owym delfinem, z nadzwyczajną dokładnością i pewnością siebie poczynił następujące zeznania, z których tutaj tylko ważniejsze przytoczymy.

„Wspomnienia moje sięgają owej chwili, w której rodzice uciekli ze mną na zgromadzenie narodowe, szukając obrony przeciw rozszalałemu ludowi; — przypominam sobie także jeszcze dobrze wszystkie okoliczności towarzyszące naszej ucieczce do Varennes, w czasie której matce mojej połowa pięknych włosów posiwiała. Po rozłączeniu z nią, nędza moja była nie do opisania. Rzeczy to zresztą wiadome: Simon zmuszał mię do oskarżania mej matki o najszkaradniejsze, bezecne postępki, kazał mi ją przeklinać. — Pod twardą jego ręką stałem się bezduszną wkońcu istotą. — Józefina, później żona cesarza Napoleona, jenerał Hoche, i rojaliści Pichegru i Frotté zajęli się wreszcie moim losem, i najprzód panią Simon, a później dozorcę więzienia Lorence skłonili do ułatwienia mi ucieczki. Umieszczono mię zrazu w ukryciu ale jeszcze pod dachem więzienia Temple, gdzie kilka miesięcy przesiedziałem. Tymczasem konwent dowiedziawszy się o mojej ucieczce kazał inne dziecko na moje miejsce podsunąć; dziecko to wzięto ze szpitala Hôtel-Dieu. Ci co byli wówczas w Paryżu przypomną sobie, iż całe miasto wtedy o tem tylko gadało, że jeden chłopiec chory z tego szpitala, w 24ch godzinach jakby cudem został uleczony. To niby chore dziecko było zupełnie zdrowe, — było to bowiem to samo, które podsunięto w miejsce chorego, wziętego dla zastąpienia mnie w więzieniu Temple. — Mój zastępca umarł na cierpienia skrofuliczne, których ja nigdy nie doznawałem; przyjaciele moi włożyli mię w trunnę, którą złożono w grobach tego

więzienia; ale niebawem otwarto ją, mnie wyjęto, a trunnę wypełniono gałganami podobnej ciału dziecka ciężkości, — następnie pochowano ją na cmentarzu ś. Małgorzaty.

„Mnie tymczasem przebranego za dziewczynę wywieziono i oddano jednej Szwajcarce zamieszkałej w Paryżu, zkąd dostałem się potem do Wandei, gdzie w zamku pana Thor de la Sonde długi czas obłożnie chorowałem. Następnie z hrabią Montmorin pojechałem do Włoch, gdzie mię papież Pius VI ukrył w jednym klasztorze, i tam to od znajomego zegarmistrza, męża owej Szwajcarki, który mię odwiedzał, nauczyłem się zegarmistrzowskiego kunsztu. Później mieszkałem w małym domku wiejskim, ale gdy w roku 1789 dom zgorzał, a Szwajcarka i jej mąż jednego dnia nagle pomarli, hrabia Montmorin siadł ze mną czemprędzej na okręt, który płynął do Anglii. Ale w drodze uderzył na nas statek francuski, Montmorin ratował się ucieczką, a mnie zawieziono do Paryża i zamknięto w okropnem więzieniu, w którem wiele ucierpiałem.

„Dopiero w roku 1803 odzyskałem wolność za staraniem Montmorina, a za wdaniem się Józefiny i ministra policyi Fouché'go, wysłano mię do księcia d'Enghien do Ettenheim; atoli w okolicy Strasburga poznany, pochwycony i znów w strasznem więzieniu w Vincennes osadzony zostałem. Dopiero w roku 1809 udało się hrabiemu Montmorin znów mię uwolnić *).

„Pojechałem z moim wybawcą do Niemiec, gdzie znów ciężko przechorowałem; książę brunszwicki dał nam listy polecające do Prus. W drodze natrafiliśmy na korpus ochotników Schilla, który nam dał eskortę. Ale oddział nasz napadnięty od nieprzyjaciela, częścią wyginął, częścią w niewolę ujęty został. Hrabia Montmorin zginął z bronią w ręku, a ja ranny dostałem się do więzienia do fortecy Wesel. Tam osądzony wraz z żołnierzami Schilla na galery, odesłany zostałem do Tulonu. W drodze zachorowałem znowu, i umieszczony w szpitalu zdołałem uciec z jednym huzarem pruskim nazwiskiem Friedrichs. — Dostaliśmy się do Westfalii, gdzie mego towarzysza pochwycili żandarmi, a ja szczęśliwie uszedłem w okolice Wittenberga.

*) Ówczesny dozorca więzienia rzeczywiście zeznał później urzędownie w Szwajcaryi, że od roku 1804 do 1808 miał pod swoim dozorem syna Ludwika XVI.

„Tutaj siedzącego nade drogą napotkał mię przejeżdżający Wejmarczyk nazwiskiem Karol Wilhelm Naundorf, i zabrał mię ze sobą do Berlina. W tornistrze Friedrichsa który miałem przy sobie, znalazłem był 1600 franków w złocie.

„Prezydent berlińskiej policyi pan Le Coq może potwierdzić moje ostatnie zeznania: — on to wyrobił mi prawo obywatelstwa i przyjęcie na majstra w Spandau. — Tam odwiedził mię później jeden z francuskich oficerów wracających z niewoli rosyjskiej, który mię poznał, — nazywał się ten oficer Marassin. — Dałem mu listy do mojej siostry i innych krewnych, — ale nigdy już potem o nim nie słyszałem. Do krewnych moich, mianowicie do księżnej Angoulême i do księcia Berry, kilkakrotnie pisałem, ale nigdy nie otrzymałem odpowiedzi."

Sędziowie Naundorfa wachając się między zdumieniem a niedowierzaniem, zeznania jego komunikowali innym władzom.

Jakkolwiek cała jego powieść wydawała się bajeczną, miała jednak z drugiej strony nie mało cech podobieństwa do prawdy, gdyż Naundorf opowiadał z największemi szczegółami czasy swego dzieciństwa i późniejszego życia wypadki, a to z taką dokładnością, na jaką prosty oszust mimo największej usilności i zręczności zdobyć by się nie potrafił. Tylko że osoby do których się odwoływał albo już nie żyły, albo też mieszkały w krajach dalekich, nie łatwo więc było sprawdzić podawane przez niego okoliczności.

Tymczasem proces o kradzież szedł swoją drogą. Pocztmistrz, człowiek bardzo zacny, zaprzysiągł, że pieniądze miał w biórku i że mu takowe następnie zginęły; nareszcie, że oprócz córki jego i Naundorfa, nikt, nawet ze służących, w pokoju jego być nie mógł. — Zegarmistrz ze swej strony przyznawał, że istotnie znajdował się przez kilka minut w pokoju sam, przed otwartem biórkiem, ale z oburzeniem przeczył rzuconemu na siebie hańbiącemu podejrzeniu. Pozory świadczyły przeciwko niemu, chociaż rewizya w jego domu najmniejszej poszlaki nie wykryła, a za nim przemawiała dotychczasowa znana jego prawość oraz pełna godności obrona, uderzające piętno prawdy na sobie nosząca.

Jednakże prawdopodobnie sprawa byłaby się źle dla niego skończyła, gdyby nie niespodziane

zdarzenie. Rodzina Naundorfa podczas jego uwięzienia cierpiała jeszcze większy niedostatek niż przedtem. Joanna, która ani na chwilę nie podzielała podejrzeń przeciwko jej mężowi rzuconych, czuła się oczywiście bardzo nieszczęśliwą, ale obok tego dokładała wszelkich starań, aby wyśledzić rzeczywistego sprawcę kradzieży.

Przypadek naprowadził ją na domysł, że to może własna córka pocztmistrza ojca okradła; — lekkomyślna ta bowiem i nadzwyczaj stroić się lubiąca dziewczyna, bardzo dużo pieniędzy zaczęła w tym czasie wydawać. — Joanna miała na tyle odwagi, że udała się do samego ojca ze swojem podejrzeniem, — a ten znów miał na tyle prawości, że wraz z nią w nieobecności córki przystąpił do rewizyi jej rzeczy. — Jakież było osłupienie i boleść poczciwego starca a radość Joanny, gdy większą jeszcze część skradzionej sumy istotnie znaleźli!...

W skutek tego odkrycia Naundorf zaszczytnie uniewinniony został, — ale mimo tego, ze względu na zeznania, które złożył był co do swego rodu, jako „bezczelny kłamca“ skazany do domu poprawy, dopóki zeznań tych nie odwoła.

Straszny to był cios dla niego i dla żony, — a przyczynę tak srogiego wyroku wytłómaczyć sobie trudno.

Atoli skargi i narzekania były daremne; Naundorf do domu poprawy odprowadzony został. Całą pociechą dla Joanny było to, że mogła męża często odwiedzać, a dyrektor zakładu baron S* wkrótce bardzo polubił Naundorfa i używał go do zajęć kancelaryjnych, które go z dala od innych więźniów trzymały.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MARCIN TARNOWSKI.

Smutno, kiedy gmach sędziwy, do którego omszałych ścian przyrosły wspomnienia chwil wielkich, uroczystych, — który przyzwyczailiśmy się szanować jako święty pomnik ubiegłej świetności, w oczach naszych rozsypuje się w gruzy i mchem grobowym porasta. Historya zapisała wprawdzie dzieje które się z nim spoiły — ale papierowe karty historyi nie dadzą nam tego ciepła i woni przeszłości, któremi oddychają stare mury naoczne jej świadki, — ciepła i woni, pod których tchnieniem przeszłość ta zmartwychwstaje i w jednej chwili w żywe odziewa się ciało. I żal człowiekowi za tą starą cegłą, w którą wsiąkło tyle łez i krwi, tyle uśmiechów szczęścia i jęków rozpaczy.

Smutniej, kiedy w oczach naszych gaśnie człowiek sędziwy, którego życie tak silnie wplotło się w życie narodu, że w niem rozpłynęło się prawie; który żył, potężniał, upadał, znowu się dźwigał, weselił się i bolał wszystkiemi uśmiechami szczęścia i bólami niedoli, błyskami nadziei i klęskami narodowemi; którego nauczyliśmy się czcić jako świętą relikwią gasnącego już pokolenia, co się dobrze zasłużyło Bogu i krajowi; którego wreszcie przywykliśmy szanować jak patryarchę, jako arkę starodawnej cnoty i obyczaju. — Rozum i religia rozbijają nasz smutek, strofują nas i pocieszają. — Wszystko co ma początek, musi mieć i koniec; — każde życie musi się skończyć śmiercią, która jest loicznem, koniecznem każdych narodzin następstwem; — kto płacze nad tem, o czem wiedział, że się stać musiało, podobny jest do dziecka, co płacze że mu się mydlana bańka rozprysła w powietrzu. — Świat ten to padół płaczu, a życie na nim to tylko próba, to przejście do lepszego, do prawdziwego, wiecznego żywota. Szczęśliwy, kto po tej błędnej wędrówce, syt sławy i cierpień, prześladowań i cześci od ludzi a ufny w łaskę i miłosierdzie boże, zawinął nareszcie do portu wiecznego spokoju!... Tak mówią religia i rozum, — ale serce ludzkie korząc się nawet przed ich władzą, niemoże przecież spokojnie zgodzić się z tą straszną dlań koniecznością, i krwawym ściśnięte żalem pyta się i bada: dla czego to co dobre, co zacne i szlachetne tak krótkotrwałe bywa? — dla czego każda nawet najcnotliwsza rozkosz, jak rozkosz miłości, jest dla nas tylko zadatkiem ciężkiego bólu? — czy dla tego dano



Pogrzeb Marcina Tarnowskiego, pułkownika b. wojsk polskich, w Krakowie dnia 24 listopada 1862 roku.

nam kochać, czcić i uwielbiać, abyśmy przedmiot kochania, czci i uwielbienia naszego gorzko potem opłakiwać musieli?...

Takie myśli, takie pytania nasuwają się mimowolnie, ilekroć tracimy z pośród siebie którego z tych mężów, co rozpięci na krzyżu męki narodowego żywota, z jedną ręką zwróconą w przeszłość, drugą wskazują nam przejście i drogę z niej do przyszłości; — mężów, których dzieje, gdy je kiedyś jaki Plutarch polski pozbiera, piękny zaiste do ogólnej chrześciańskiej martyrologii stanowić będę przydatek.

Takie myśli i pytania nasunął nam zgon ś. p. Marcina Tarnowskiego.

Marcin Tarnowski, syn Jana i Tekli z Grabianków Tarnowskich, urodził się na Wołyniu r. 1774. Oddany na nauki do Lwowa miał właśnie lat 20, kiedy wybuchło powstanie Kościuszki. Młody Jan pośpieszył zaraz do Warszawy i zaciągnął się w narodowe szeregi, a odznaczywszy się zaszczytnie w ciągu kampanii, po wzięciu Kościuszki pod Maciejowicami był adjutantem przy następnym naczelniku siły zbrojnej narodowej jenerale Wawrzeckim, i wysłany z rozkazami od niego na Pragę, miał czynny udział w sławnej obronie tego przedmieścia, którego straszny los aż nadto znany w historyi.

Po zupełnym upadku powstania i ostatecznym rozbiorze kraju wrócił Tarnowski do domu, i osiadłszy na Wołyniu, mimo młodego jeszcze wieku, umiał sobie zjednać taki szacunek u u współobywateli, że przez nich niebawem marszałkiem szlachty powiatu dubieńskiego obrany został. — Po utworzeniu księstwa warszawskiego porzucił domowe zacisze, wstąpił do zawięzującego się wojska i kosztem większej połowy majątku wystawił 16ty pułk ułanów. Na czele tego pułku, którego pułkownikiem mianowany został, odbył kampanie roku 1809, 1812 i 1813, a jak je odbył, świadczy o tem kawalerski krzyż legii honorowej, którym go cesarz Napoleon ozdobił, — następnie krzyż kawalerski zasługi wojskowej, — order neapolitański *del Real' Ordine*, który od ówczesnego króla neapolitańskiego Murata otrzymał, — wreszcie dwie zaszczytne rany, które na polu boju odniósł w ciągu tych kampanij. — W skutku kapitulacyi Drezna dostał się do niewoli i jako jeniec wojenny jakiś czas w Presburgu przesiedział.

Gdy w utworzonem w r. 1815 na kongresie wiedeńskim królestwie polskiem poczęło się organizować wojsko, wstąpił znów w skład jego Tarnowski i mianowany został pułkownikiem 3go pułku strzelców konnych, a to rozkazem dziennym z dnia 20 stycznia 1815 roku. Atoli zawiedziony w nadziejach, które zrazu był co do nowego bytu swej ojczyzny powziął, nie mogąc się zresztą pogodzić z duchem ożywiającym naczelnictwo tego wojska, podał się niezadługo do dymisyi, i takową otrzymał w grudniu tegoż roku.

Wróciwszy na Wołyń do ojczystego majątku, służył rodakom na polu życia obywatelskiego, a w 1825 roku obwiniony o należenie do wielkiego sprzysiężenia rozgałęzionego w całej Polsce i Rosyi, po niepomyślnym częściowym wybuchu w Petersburgu w chwili wstąpienia na tron cesarza Mikołaja, aresztowany został na Wołyniu i ujęty wprost z polowania, odwieziony do Petersburga, gdzie blisko 4 lata zostawał w więzieniu, kilkakrotnie wożony do Warszawy dla konfrontacyi z innemi więźniami. Jak tylko wybuchło powstanie listopadowe, gdy rząd rosyjski nakazał w prowincyach dawniej zabranych aresztować i wywieść w głąb Rosyi wszystkie podejrzane mu osoby, pułkownik Tarnowski aresztowany został w grudniu 1830 roku i wywieziony do Kurska, gdzie trzymano go aż do końca wojny 1831 roku.

Po raz czwarty z więzienia lub niewoli wróciwszy do rodzinnych progów, przepędził resztę życia po większej części w majątku swym na Wołyniu i Podolu, a nie tracąc mimo tylokrotnych zawodów nigdy nadziei w przyszłą pomyślność kraju, był w każdym razie radą i pomocą dla współobywateli, zdobywając sobie prywatnemi cnotami coraz większą miłość; niosąc wszędzie pomoc gdzie się dowiedział o niezasłużonej nędzy, był uważany prawie za patryarchę tamtych prowincyj. W roku przeszłym przeniósł się na mieszkanie do Krakowa, i z wyroków opatrzności przyszło mu kości swe złożyć pod murami starej stolicy Polski, dla której szczęścia starał się pracować przez całe 90 lat życia, i o którem marzył do ostatniej godziny.

Umarł Marcin Tarnowski dnia 21go listopada 1862 roku około godziny 4tej po południu. Pogrzeb jego odbył się dnia 24go t. m., a Kraków dawno już nie był świadkiem tak uroczystego widoku, jaki się w ów dzień oczom jego przedstawił.

Kondukt żałobny poprzedzony przez bractwa i cechy, duchowieństwo zakonne i świeckie, ruszył o godz. 10 z mieszkania zmarłego w Rynku głównym do kościoła N. P. Maryi. Trumnę nieśli na swych barkach aż do kościoła oficerowie b. wojska polskiego; sznury całunu trzymali: marszałek sejmu w 1831 roku Władysław Ostrowski, jenerałowie Kruszewski i Bystrzonowski, pułkownik Gawroński, b. oficerowie Karwicki i książę Stanisław Jabłonowski. Ordery zmarłego na poduszkach nieśli także oficerowie b. wojska polskiego: Henryk Tomkowicz, Maurycy hr. Potocki, Symonowicz i Kiernicki. Za ciałem postępowała rodzina, towarzysze broni i tysiące współrodaków, których następnie po wniesieniu trumny do kościoła archiprezbiteryalnego, mury tej wielkiej świątyni objąć nie zdołały i tłumy zalegały rynek.

W kościele po ustawieniu trumny na katafalku, ks. biskup Łętowski przewodniczący konduktowi i celebrujący nabożeństwo żałobne, a niegdyś także towarzysz broni zmarłego pułkownika, przemówił kilka słów stósownych, zasiadłszy przed katafalkiem; następnie zaś w czasie nabożeństwa miał mowę pogrzebową ks. Oszacki, przedstawiając wymownie zasługi i cnoty zmarłego i dając życie jego za przykład obecnym. Z kościoła nieśli najprzód trunnę krewni zmarłego, dalej obywatele, oficerowie b. wojska polskiego i młodzież akademicka aż na cmentarz, dokąd odprowadzały tłumy rodaków ciało otoczone chorągwiami cechowemi. Licznemu duchowieństwu i całemu konduktowi żałobnemu na cmentarz, przewodniczył ks. kanonik Scipio. Przy wpuszczeniu ciała do grobu całun okrywający trunnę rozerwano, aby unieść pamiątkę po obrońcy niegdyś Pragi, a towarzyszu broni wiekopomnego Kościuszki.

Na zamku Wiśnickim.

Miesięczna noc, — po dachach przez złamane sklepy,
Przez wież puste strzelnice, przez okien czerepy,
W ściany odartych komnat lecą światła strugi:
Brzoza w gzemsach rzeźbionych przypadkiem wszczepiona
Szemrze cichym pacierzem, i włos srebrny, długi,
Opuszcza na wytarte herbowne znamiona.

Na baszcie orzeł biały skamieniał. Pogoni
Znak z szablicą dłoń podniósł — a szablica w dłoni
Zawisła groźna, śmiała, jak czyn zamierzony,
Uśpiony na wiek, lecz nie na wieki uśpiony;
Księżyc jaśniejszem światłem dwie tarcze oblewa,
A pokłonu im szumem drżą stóletnie drzewa.

Herby rodzin spękały. W gruzach gmach kaplicy,
Ołtarz domowy w gruzach, głębia grobów głucha
Pękła, — straszność zniszczenia jak brzydka ropucha
Wypełzła z pół przegniłych złocideł trumnicy:
Puchacz, dziki szyderca, na wieży dalekiej
Szepce swojej rodzinie chrapliwie: na wieki!

I z świata księżycowem oblanego złotem
Leci echo: na wieki! Na wieki skończyło

Się życie, co falami o te mury biło,
Ten gwar dworzan, błyskotnych w zbroicach rycerzy,
Pięknych niewiast uśmiechy, te orle spojrzenia
Panów, których duch śmiały nakształt dumnej wieży
Był krajowi opieki hasłem — lub zniszczenia.

W karmelickim klasztorze śpią: ich blade czoła
Martwe jako pergamin, co ich dzieje mieści;
Chyba poeta marząc wątek do powieści
Zbudzi ich, z snu wiecznego na chwilę wywoła,
Lub dziejarz w głębią grobów wzrok zapuści twardy,
Aby się wyspowiadał wojewoda hardy.

Chyba dusza łagodna jako dłoń niewiasty,
Jak brzoza nad ruiną liściami płacząca,
Obejmie stare trumny i w blaski miesiąca
Wywiedzie eteryczne z grobu protoplasty,
I bluszczem się owije o ich pierś wspaniałą,
Jak dziecię, co mogiłę ojców ukochało

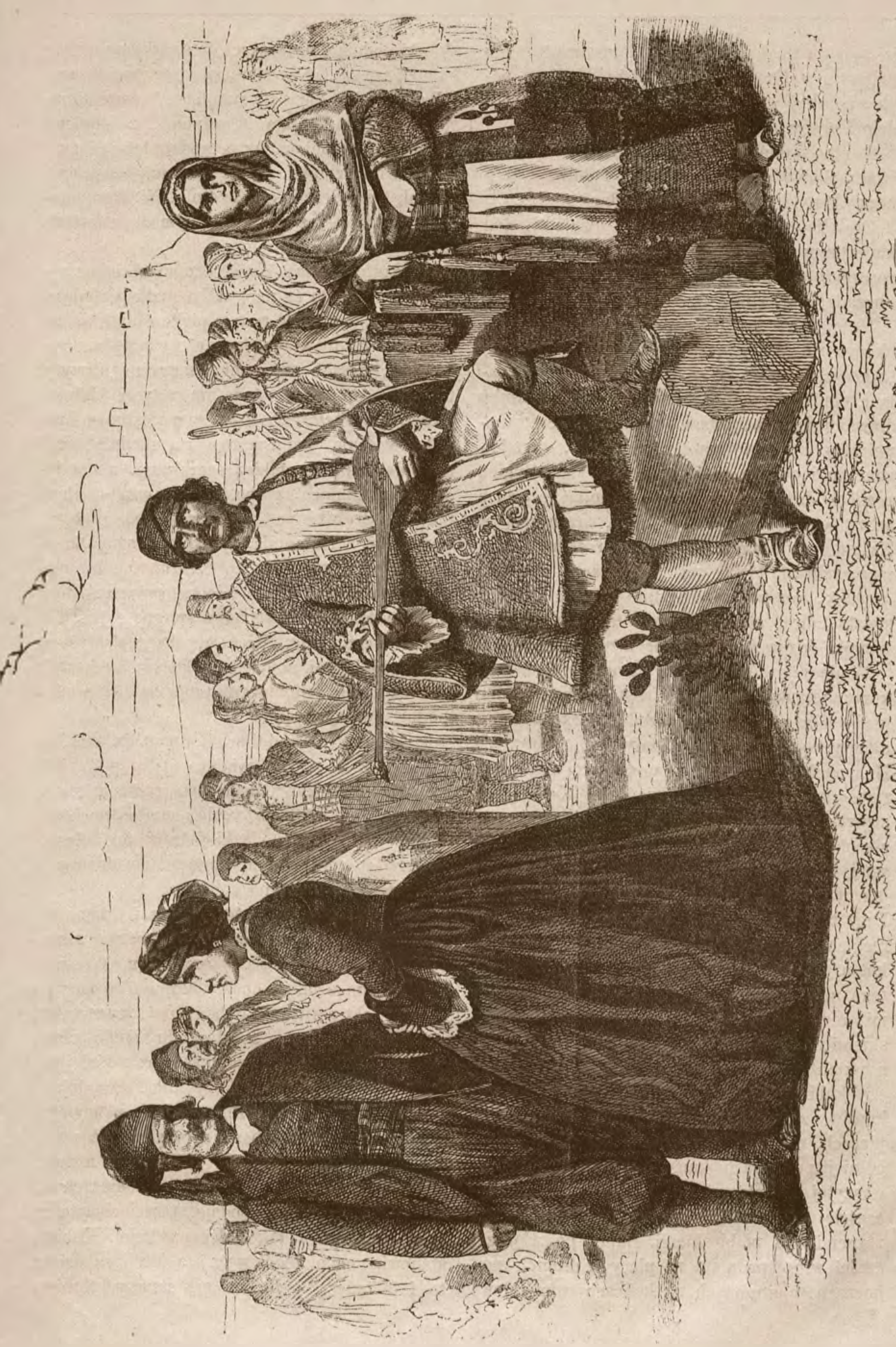
Straszna praca — puchaczem nie być ani brzozą;
Nie szydzić i nie płakać jak błędna sierota, —
Straszna praca ich grozę swą zwyciężyć grozą,
Jak Bóg, co wielką dłonią kłębek dziejów mota,
Jak Bóg co w głębie piersi lampą dziejów świeci,
Co sędzia — karze winnych, — ojciec — kocha dzieci!

J. Szujski.

DZISIEJSI GRECY.

Stara Grecya, za czasów mianowicie swojej świetności, straciła była zupełnie charakter wschodni, — czasy atoli bizantyńskie a następnie jarzmo tureckie pociągnęły ją znowu ku wschodowi, i dzisiejsza Grecya pod wielu względami wybitne cechy jego nosi na sobie. Kościół jej zowie się wschodnim a brunatne oblicza Matki Najświętszej i Świętych Pańskich patrzące z jej obrazów są oczywiście pochodzenia wschodniego. Muzyka dzisiejszego ludu greckiego składa się z krzykliwego fletu i hałaśliwego bębna, instrumentów czysto tureckich. Nosowy śpiew, którym ludowi śpiewacy nowej Grecyi sławią bohaterskie czyny Palikarów, ma wielkie podobieństwo do nóty, na jaką Arab pustyni opiewa wyprawy swoich Szejków. Niskie stanowisko jakie w społeczeństwie nowo-greckiem zajmuje kobieta, jest raczej wypływem pojęć haremowych, aniżeli staro-helleńskich tradycyj. Chciwość i przedajność urzędników jest także spuścizną po Turkach, a lekceważenie nawet w wyższych kołach towarzyskich prawideł zachodniego honoru, również na ten karb policzyć należy.

Daleko więcej zyskują Grecy na zachowaniu pod innym względem obyczaju wschodniego, to jest pod względem stroju. — Wprawdzie w Atenach i innych większych miastach, jak Hermopolis i Patras, strój europejski tak między mężczyznami jak i kobietami coraz więcej się rozpościera, — ale i tu jeszcze *fez*, wyższy od tureckiego i spadający na bok, jest zawsze nieodłączną prawie częścią ubioru płci obojej, u średnich a nawet u wyższych klas ludności. Mniej piękny jest ubiór Greków wyspiarzy, w którego skład wchodzą długie, fałdziste, ciemno-niebieskie buchaste spodnie spadające aż do kostek i stanowiące rodzaj chwiejącego się na około nóg worka; — ale tak zwany strój albański, który nosi wszystek lud stałego lądu,



jest nadzwyczaj malowniczy, i zgromadzeniom ludowym w Grecyi nadaje wdzięk, jakiego pozbawione są podobne zgromadzenia na zachodzie Europy.

Trudno sobie wyobrazić coś bardziej zajmującego nad widok uroczystości ludowej w pobliżu Aten. Przypatrzmy się jednej z nich.

Oto Zielone Świątki, — rzecz dzieje się pod klasztorem i lasem na górze Pentelikon, gdzie corocznie gromadzące się tłumy ludu Attyki, biesiadują w cieniu drzew i tańczą romaikę.

Uroczystość jest już w pełnym ruchu, — cała okolica roi się tysiącami różnobarwnych fantastycznych postaci. Wszędzie błyskają porozpalane ognie, pomiędzy drzewami wiją się kłęby sinego, przejźrzoczystego dymu. Atmosferę przepełniają wyziewy tłuszczu baraniego, gdyż barany tu i owdzie pieką się całe na długich rożnach drewnianych. Oprócz tego na gałęziach wiszą gęsto gotowe już pieczenie, runem okryte. Na murawie długim podwójnym rzędem siedzą mężczyzni kobiety na kobiercach, i jedzą czosnek, mięso i sałatę. Inni wreszcie gotują się do tańca, wabieni głosem tamburyna i szałamajki odzywających się na różnych punktach.

Wmięszajmy się między te grupy, a napotkamy nie jednę wdzięczną postać, choć rzadko kiedy uda nam się spostrzedz twarz odpowiadającą wyobrażeniom z antyków o dawnych Hellenach powziętym; — powiększej części ujrzymy tu raczej typy słowiańskie. Kobiety są zwykle zanadto otyłe; — mężczyzni odznaczają się charakterystycznemi rysami, wydatnemi nosami i potężnemi wąsami; — tak u jednych jak u drugich na głowach czerwienieją fezy Fezy te, więcej niż dwa razy wyższe od tureckich, u mężczyzn zdobi niebieski jedwabny kutas, u kobiet srebrna lub złota frenzla; prócz tego niektóre naszywają je tureckiemi, greckiemi, niemieckiemi, a nawet staremi bizantyńskiemi monetami. Bogatsze noszą na szyi kolije z takichże monet. Jako zwierzchnią suknią noszą kobiety powiększej części tunikę bez rękawów, z białej bardzo mocnej materyi, na plecach, na piersiach, do koła brzegów a szczególniej po rogach kunsztownie i ze smakiem wyszytej szerokiemi i wązkiemi taśmami najczęściej czarnemi, a niekiedy czerwonemi, brunatnemi lub niebieskiemi. Bujny po większej części włos spada im na plecy w długich warkoczach, opatrzonych na końcach w metalowe skówki podobne do naszych futeralików na druty od pończochy. Na piersiach okrytych samą tylko koszulą, spina się suknia srebrnemi klamrami. Spodnia suknia bawełniana, z długiemi rękawami, ozdobiona bywa podobnież taśmami w arabeski szytemi. Kibić obejmuje czerwony pas pięć do sześciu cali szeroki. Niektóre otaczają jeszcze fez do koła suknem nakształt turbanu.

Męzczyzni noszą obcisłe kamizelki bez rękawów, z przodu na parę tylko guzików zapięte, tak, że z pod nich widać pięknie sfałdowaną koszulę. Na to kładą kaftan z rozciętemi rękawami, bogato taśmami i sznurami naszyty. Od pasa do kolan spada im rażącej białości bawełniana *fustanella*, która pierwiastkowo była tylko koszulą wypuszczoną na spodnie, dziś atoli dochodzi do takiej szerokości, że w tysiącznych fałdach, grubo na kilka cali po udach spływa. Szeroki pas z czerwonej skóry łączy kamizelkę z fustanellą. Od kolana aż po kostkę okrywają nogę czerwone, brunatne lub niebieskie kamasze, haftem zdobne, samą zaś stopę białe pończochy i czerwone spiczaste trzewiki wschodniego kroju. Niektórzy używają płaszczów z białej bai, pod spodem kudłatej nakształt skóry owczej, ozdobionych po brzegach również białemi wyszyciami.

Za obrus biesiadnikom służy murawa, za talerze deski, służbę widelca pełni ręka. Nóż ma tylko krajczy każdego towarzyskiego grona. Szklanek nie używają wcale, a wino obchodzi w kolej w wielkiej i ciężkiej drewnianej flaszy, która jest niezbędnym sprzętem w domowem gospodarstwie greckiego chłopa.

Powoli uczta się kończy, a tu i owdzie po stronach zaczynają się pląsy, i fustanelle w szerokich łukach pływają w powietrzu. Wreszcie i w samym środku obozu harmonika zaczyna nogi w takt poruszać. Bęben uderzany z wierzchu ciężką pałką a zpod spodu cienką rózgą i mała piszcząca szałamajka coraz głośniej dają się słyszeć. Tworzą się koła. Przodujący tancerz zaczyna najprzód zwolna, potem żywiej, a nareszcie zabawnie przykucając i wyskakując do góry zataczać koła w takt muzyki. Najbliższy z męczyzn chwyta za koniec chustki którą mu tamten podaje, trzeci chwyta za rękę drugiego i tak dalej po kolei. Kobiety stanowią ogon tego węża, a jeżeli są dzieci, to i te tańczą o ile im sił starczy. Kobiety

jednak właściwie mówiąc nie tańczą, tylko chodzą. Niekiedy tancerz i tancerka występują z szeregu, który się wtedy zatrzymuje. Mężczyzna zaczyna wówczas tańczyć pewien rodzaj pantominy, rzuca się, kręci, przyklęka, podskakuje, — kobieta tymczasem pozostaje całkiem nieruchoma, podobna do owych posągów na Akropolis, które z dala wynurzają się zpośród drzew zieleni.

W ogóle taniec ten nie jest wcale klasyczny. — Ma on, równie jak ubiór, podobieństwo do słowiańskiego, i zdaje się być pokrewnym serbskiemu „kołu.“ — Nie jest on bez wdzięku, — zgrabniejszy niż w wielu naszych okolicach taniec ludowy, za mało ma jednak rozmaitości, aby mógł dłuższą na siebie zwrócić uwagę.

CZŁONKOWIE
PROWIZORYCZNEGO RZĄDU GRECKIEGO.

Grekom zaciasno poczęło być w dzisiejszej małej Grecyi. Czasy i okoliczności obudziły w nich wspomnienia dawnej wielkości, w obec której zaiste smutno teraźniejszość wygląda. Radziby oni dzisiaj połączyć się znowu wszyscy w jedno potężne państwo — i ztąd to pierwszy powód ich niezadowolenia z króla Ottona, który im do osiągnięcia tych widoków zdawał się niesposobny, ztąd ostatnia ich rewolucya, — dla tego nie chcą króla z rodu Wittelsbachów, ale oglądają się raczej za księciem z rodziny panującej w jakiem potężnem państwie, a zwłaszcza też potężnem na morzu. — Myśl ta zjednoczenia się Greków tak jest dzisiaj rozbudzoną i powszechną w narodzie, że ktokolwiek nastąpi po Ottonie, jeżeli pragnienia tego nie zaspokoi, z nowemi zaburzeniami będzie miał do czynienia.

Reprezentantami tej idei są mianowicie trzej mężowie, którzy rewolucyą październikową przygotowali i takowej następnie dokonali, a dziś stoją na czele rządu tymczasowego.

D e m e t r y u s z B u l g a r i s właściwy rządzca dzisiejszej Grecyi, człowiek 60cio letni, pochodzi ze znakomitej rodziny osiadłej na wyspie Hydrze. Już za czasów wojny o niepodległość miał on udział w rządzie; za króla Ottona, przed zaprowadzeniem ustawy z dnia 3/15 września 1843 był podwakroć ministrem finansów, a później w październiku 1855 r. został prezesem ministrów i ministrem spraw wewnętrznych. Ministeryum to istniało 2 lata, poczem Bulgaris wszedł do senatu. Nie był on obcy powstaniu wojskowemu, które 13 lutego roku zeszłego wybuchło w Nauplii, i był właśnie wtedy głową oppozycyi w parlamencie. Od czasu jak porzucił służbę rządową, starał się o zjednanie sobie popularności, — a że nie zbywa mu ani na zdolnościach, ani na tęgości charakteru, nie trudno mu było stanąć na czele ruchu. Bulgarisa uważano od dawna za stronnika partyi francuskiej, ale dzisiaj nagle przeszedł on pod chorągiew angielską, która też w ogóle najwięcej ma obecnie wziętości w Grecyi.

K o n s t a n t y K a n a r i s drugi tryumwir, kontr-admirał i senator, ma wielką sławę w Grecyi jako bohater na morzu, lecz dziś jest to starzec 70cio letni. Urodzony na wyspie Ipsara, trudnił on się handlem morskim, ale w czasie wojny o niepodległość zamienił okręty kupieckie na wojenne, i szczególniej swojemi statkami palnemi stał się groźnym nieprzyjacielowi. W cieśninie Chios, w nocy z dnia 18 na 19 czerwca 1822 roku wysadził w powietrze admiralski okręt turecki, a 22 listopada tegoż roku spalił drugi okręt admiralski w zatoce Tenedos. 17go sierpnia 1824 zniszczył wielką turecką fregatę i mnóstwo statków przewozowych z wojskiem tureckiem pod Mikale. Na zgromadzeniu narodowem w roku 1827 występował Kanaris jako reprezentant swojej rodzinnej wyspy, a Kapodistrias mianował go dowódzcą flotylli, które to dowództwo złożył on po zamordowaniu tego prezydenta w roku 1831 i oddalił się do Syry. — Później dowodził znów na morzu, w latach 1848 i 1849 stał na czele gabinetu a w roku 1854 i 1855 był ministrem marynarki.

Gdy ministeryum Miaulis w grudniu 1861 podało się do dymisyi, król dał Kanarisowi pełnomocnictwo do złożenia ministeryum nowego, ale je cofnął potem i zatrzymał dotychczasowych ministrów. — Kanaris nie posiada rozległych wiadomości i zdolności męża stanu, i tylko sławie swego imienia winien, że podwakroć do składu gabinetu powołany został. Osobistość jego wcale niepokaźna, i niktby się w nim bohatera nie domyślił. Nie zbywa mu jednak na ambicyi, a w senacie należał do skrajnej oppozycyi. Gdy Bulgaris wziął przed nim pierwszeństwo w rządzie tymczasowym, Kanaris rozgniewany usunął się na wieś, dał się jednak potem namówić i pozostał w rządzie. Dawniej znany był jako zwolennik partyi rosyjskiej, później Francuzi liczyli go do swoich, a czy dziś szczerze trzyma z partyą angielską, czas pokaże.

B. Rufos, bogaty mieszczanin z Patras, którego rodzina w całej Morei w wielkiem jest poszanowaniu, i którego ojciec Kanakaris z powodu zacności charakteru nadzwyczajnej używał wziętości, jest trzecim w związku. Stary, dziś 68 lat mający Rufos, ze względu na nieograniczony wpływ, jaki wywierał w swojej prowincyi, był niezmiernie ważną osobistością dla rządu króla Ottona, który niepolitycznie sobie postąpił, zaniedbując tego człowieka, z rozumem i wykształceniem łączącego wcale



Demetryusz Bulgaris.



Konstanty Kanaris.

umiarkowane zasady. — Tylko kiedy teść jego zmarły Konduriotis był prezesem ministrów, Rufos przez krótki czas piastował ministerstwo spraw wewnętrznych. Gdy stary spiskowiec jenerał Griwas, niezadowolony najwyższemi zaszczytami wojskowemi i darami które mu ofiarował rząd tymczasowy, wystąpił z przesadzonemi pretensyami i wojną domową zagrażał, Rufos wysłany był aby się z nim porozumiał. Nim atoli przybył do Missolungi, Griwas umarł 5go listopada, i uwolnił rząd od wielkiego kłopotu. Pozbawiona wodza zgraja Rumeliotów łatwiej dała się uspokoić i do rozejścia się nakłonić.

Demetryusz Griwas, jedyny syn zmarłego jenerała służył, jako oficer w wojsku królewskiem, mimo tego jednak wraz z krewnym swoim porucznikiem Griwas był duszą powstania w Nauplii, gdy tymczasem panna Griwas, siostra owego porucznika, będąc damą dworu królowej, pozostała jej wierną, i udała się z nią do Monachium. Demetryusz odziedziczył ojcowskiego ducha, pełen jest odwagi i energii, i pośpieszył też czemprędzej na widownią wypadków,

w nadziei objęcia w spuściźnie po ojcu zaufania i przychylności jego towarzyszów broni. Czy jednak starzy Palikarowie zechcą swoje uczucia przenieść z ojca na syna, później się chyba okaże.

W końcu wymienimy tu jeszcze jednego męża, który jakkolwiek wielce szanowany w swej ojczyznie, nieznany jednak był dotąd Europie. Tym mężem jest:

Koroneos komendant gwardyi narodowej w Atenach, od którego sposobu myślenia i energii zależy dzisiaj głównie utrzymanie porządku, co tem trudniejszem jest zadaniem, że karność wojskowa wielce wśród obecnych wypadków jest nadwerężoną, a żandarmerya do ostatka wierna królowi rozwiązaną została.

ŚMIERTELNOŚĆ W ŚREDNICH WIEKACH

I BICZOWNICY.

Dzięki postępowi sztuki lekarskiej i zmianie stosunków społecznych, czasy dzisiejsze wolne są od tych okropności straszliwych epidemij, które w starożytności i w średnich wiekach ludność ziemi dziesiątkowały. Wprawdzie i dzisiaj jeszcze cholera, tyfus i inni tym podobni nieprzyjaciele groźni bywają rodowi ludzkiemu, — ale to wszystko nie może iść nawet w porównanie ze śmiertelnością, o jakiej nam dawniejsze opowiadają kroniki. — Mieszkania nader ścieśnione i nagromadzone w pewnych punktach, noszenie wyłącznie wełnianych sukien, liczne pielgrzymki, zaniedbanie wszelkich dietetycznych przepisów, oto okoliczności, które w średnich wiekach rozwijaniu i szerzeniu się chorób głównie sprzyjały. Epidemie i zarazy były wówczas w Europie tak częstemi gośćmi, iż zdaje się że łagodniały tylko czasami, ale nie ustawały nigdy zupełnie. Od roku 1060 do 1480 zaraza nawiedzała Europę trzydzieści i dwa razy, a więc pojawiała się co lat 13; w samym zaś wieku XIV czternaście razy, a więc co 4 lata przychodziła w gościnę. Jeden historyk uważa, że w Paryżu, Kolonii, Famagoście, Wenecyi i Ankonie zaraza pojawiała się tak często, iż można powiedzieć, że nie ustawała wcale. Wszystkie jednak te klęski przeszła' srogością swoją i liczbą ofiar epidemia która przypadła w środku XIV wieku, a której straszliwy przebieg opisać tutaj chcemy.

W ogóle środek tego stólecia, XIVgo od narodzenia Chrystusa, brzemienny był nieszczęściami ludzkości; — fizyczne i moralne klęski były tak straszne, że ludzie zaczęli mniemać, iż się zbliża koniec świata. Od roku 1338 do 1360 następowała plaga po pladze. — Zaczęło się od szarańczy, która ku końcu lata w roku 1338 tak gęstemi chmurami zalała Węgry, Polskę i Austryą, że zaciemniała słońce. Karol margrabia morawski (późniejszy cesarz Karol IV), który właśnie wówczas był w drodze z Austryi do Czech, pisze w swojej autobiografii: „O wschodzie słońca rycerz jeden zbudził nas ze snu, wołając: wstawaj o panie! dzień sądny się zbliża — cały świat pełen szarańczy! Wstaliśmy więc i siadłszy na koń a chcąc widzieć jej koniec, jechaliśmy z wielką szybkością do Pulkau (w Niższej Austryi). Tutaj znaleźliśmy jej koniec; długość chmury wynosiła siedm mil; szerokości jej nie mogliśmy ocenić.“ Szarańcza ta zniszczyła ze szczętem pola i ogrody, oszczędzając tylko winnice. Zboża na szczęście już były wtedy zebrane. Nawet w locie rozmnażał się ten okropny owad, tak, że ilość jego z przerażającą wzrastała szybkością. Według opisu kronikarzy miał on po cztery skrzydła a na głowie grzebień; w pobliżu jego rozchodziła się woń obrzydliwa. Z czasem dopiero ludzkie ręce, ptaki i słoty wyniszczyły zwolna to plugastwo. — W cztery lata później (1342) okolice Renu i niektóre części Francyi zalała nagła powódź, która nawet skąpym w wodę miejscom dała się we znaki. Być może iż zjawisko to zostawało w związku ze straszliwem trzęsieniem ziemi, które w tym samym roku nawiedziło Egipt i całą Azyą. W trzy lata później pojawiają się ogromne ulewy, powodzie i głód. We Włoszech przepadają zupełnie

zasiewy w skutek czteromiesięcznych deszczów. Przez dwa następne lata panuje ogromna drożyzna a ztąd wielka śmiertelność. Nareszcie w roku 1348 doznała i Europa symptomatów wielkich wstrząśnień w łonie ziemi, które w poprzednich latach nawiedziły Chiny. 25go stycznia w Grecyi, Włoszech i w części Niemiec południowych dało się uczuć trzęsienie ziemi. Domy i świątynie rozsypywały się w gruzy; w Karyntyi zawaliły się wszystkie kościoły; Villach ze szczętem poszło w ruinę; wiele wsi znikło bez śladu; góry poprzenosiły się na inne miejsca; cały kraj inną zupełnie przybrał fizyonomią.— Zdawało się że nad całym światem cięży jakaś ogólna klątwa, a wiara w zbliżanie się dnia ostatecznego coraz więcej znajdowała zwolenników, których trwożliwe przeczucia w politycznych i spółecznych wstrząśnieniach Europy tem silniejsze znajdowały utwierdzenie.

Cały zachód wrzał walką. Włochy, Francya, Anglia i Niemcy, a nawet dwie najpierwsze głowy chrześciaństwa: papież i cesarz, w ciągłych byli ze sobą zatargach. Niedawno przedtem obrzucony klątwą cesarz niemiecki, Ludwik bawarski, zstąpił do grobu, w okropnym stanie zostawiwszy państwo swoje. Pod grozą interdyktu całe cesarstwo zamieniło się jakby w pusty cmentarz. Służba boża ustała, kościoły były zamknięte; — dzwony milczały, nie wolno było nigdzie ani mszy odprawić, ani mieć kazania, ani Sakramentów św. udzielać, ani zmarłego wedle obrządku kościelnego pochować. — Do tych wszystkich fizycznych i moralnych tortur, jako potężny sprzymierzeniec przystąpiła jeszcze śmierć w najokropniejszej swojej postaci. Straszliwa choroba, czarną śmiercią zwana, roznosiła srogie spustoszenia, tysiącami ludzi zabierając. Któż zdoła pojąć cały ogrom moralnej i materyalnej nędzy, którą plagi te przycisnęły ludy Euroy?...

Czarna śmierć wybuchnęła w roku 1348 najprzód w pierwotnej swojej ojczyznie: w Egipcie i Syryi, z taką gwałtownością, że w Kairze umierało dziennie po 10 do 15 tysięcy ludzi, a w Gazie w przeciągu sześciu tygodni wymarło 22,000 mieszkańców i wyzdychały wszystkie domowe zwierzęta. Arabski historyk Kara-Kaleb powiada, że ofiary zarazy były niezliczone jak piasek w morzu, i ocenia je na miryady miryad. — Drogą stosunków handlowych zaraza ta wnet przeniosła się i do Cypru. Muzułmanie obawiając się aby niewolnicy korzystając z powszechnego zamięszania nie powstali przeciw nim, postanowili wymordować ich wszystkich, kiedy w tem nagle zadrżała ziemia, okręty stojące w portach pochłonęły fale, ci których oszczędziła zaraza zginęli w przepaściach pękającej ziemi, w zburzonych morskich odmętach lub pod gruzami walących się domów. Kupy zdechłej szarańczy, którą burza wpędziła zrazu na morze a potem na ląd wyrzuciła, zatruwały powietrze. Gęsta, ciężka mgła długi czas zalegała całą Grecyą.

Ze wschodu skierowała się zaraza ku Włochom i tak się w krótkim czasie w nich zagospodarowała, że niezżęte zboża pozostały na polu, bo ich zbierać nie było komu. Wenecya straciła 100,000 mieszkańców, Florencya mało co mniej. W Pizie wymarło siedmiu ludzi na dziesięciu, w Sienie 80,000, w Genui 40,000, w Neapolu 60,000, w Królestwie Sycylijskiem w ogóle 530,000. W wielu miejscach pozostał zaledwie jeden człowiek na dziesięciu, a w Trapani wymarli wszyscy do jednego. Z Włoch przeniosła się ta klęska do Hiszpanii i do Francyi, gdzie w samym Paryżu po 800 osób dziennie umierało; — w następnym roku rozpostarła się na Anglią, Niemcy i Holandyą, a towarzyszyły jej wszędzie trzęsienia ziemi i oberwania chmur. Nawet na głębokiej północy, w Norwegii, Islandyi i Grenlandyi od r. 1347 do 1351 wyludniała zaraza już i tak nieludne okolice. Niebawem w środkowej Europie całe wsi stanęły pustkami a miasta straszliwie zostały przetrzebione. — W Austryi, Styryi i Karyntyi na ogromnych obszarach kraju ludność całkiem wymarła. W Wiedniu padało dziennie nieraz do 500 ludzi, a jednego dnia nawet liczba zmarłych doszła do 960. — W ogólności jedna trzecia, a wedle innych dat dwie piąte części ludności europejskiej padły ofiarą tej plagi.

Choroba zaczynała się silną gorączką, po której następowało delirium, zdrętwienie i nieprzytomność. Język i podniebienie siniały, a oddech cuchnąć poczynał. Wiele osób dostawało przytem gwałtownego zapalenia płuc i nagłych krwotoków; — wtedy przystępowała gangrena, o której obecności świadczyły występujące po ciele czarne plamy, zkąd też nazwa choroby poszła.

Sztuka lekarska ówczesna, polegająca na kabalistycznych formułach i cudownych środkach, bezsilną była wobec tej strasznej zarazy, której szybkich postępów nie tamowały nawet żadne środki zaradcze, gdyż pierwsza kwarantana zaprowadzoną została dopiero w roku 1403 przez Wenecyan na wyspie N. Maryi Panny Nazarejskiej. Pod wpływem takich klęsk wzmagała się ogólna trwoga nawiedzonej przez nie ludzkości, która obok tego jęcząc pod interdyktem, pozbawiona była wszelkiej religijnej pociechy. Papież ogłosił odpusty dla tych, którzy się poświęcą pielęgnowaniu chorych, — i są na to dokumenta, że w skutek takiego zajęcia umarło 124,434 Franciszkanów. Piękny to zaiste odblask chrześciańskiej miłości, wśród tych okropnych czasów smutku i boleści. — Wszelkie społeczne i naturalne węzły zerwały się były — cały świat tak moralny jak fizyczny zdawał się zupełnie ze zwykłych karbów wychodzić. Widząc pewną śmierć przed oczyma ludzie rzucali się ślepo w wir rozkoszy, aby przynajmniej użyć przed zgonem, lub też w obrzydłym egoizmie zamykali oczy na cierpienia bliźnich. Z drugiej strony pod chłoszczącą ręką bożą obudziła się wprawdzie pobożność, ale ta niebawem w ostateczność popadła, zmięszawszy się z nieczystemi żywiołami nienawiści, żądzy prześladowania, szaleństwa i pożądliwości.

Do najnieszczęśliwszych istot w średnich wiekach należeli bezwątpienia dotknięci trądem, tą straszliwą chorobą Wschodu. Za życia odpadało im ciało od kości, dopóki nie doczekali się powolnego końca swych cierpień. Społeczność ludzka wykluczyła ich z pomiędzy siebie, nie wolno im było myć się w studni ani w bieżącej wodzie, dotykać rękami przedmiotów wystawionych na sprzedaż, wąskiemi ścieżkami chodzić, ująć liny od studni, z cudzego naczynia pijać. W duchu owego czasu trąd uważano jako karę za ciężkie grzechy.— Zdala od mieszkań ludzkich gmina kleciła dla trędowatego nędzną chatę, do której odprowadzano go w orszaku duchowieństwa. Kapłan ciskał na jego łoże garść ziemi z cmentarza i mówił: „Bądź umarłym dla świata, a żyj dla Boga!“ poczem rzuciwszy nieszczęśliwemu kilka słów pociechy, zatykał drewniany krzyż przed chatą, i zawieszał na nim skarbonkę na jałmużnę. Trędowaci winni byli nosić strój osobny, ręce musieli mieć zawsze okryte, nie wolno im było mówić i tylko grzechotką o swej obecności przypominać mogli. Na tych to po trzykroć nieszczęśliwych kaleków padło w czasach zarazy podejrzenie udręczonej ludzkości. Przeciwko tym, których los przedtem miłosierdzie chrześciańskie starało się łagodzić osobnemi zakładami i szpitalami, zwróciła się teraz wściekłość zabobonu.

(C. d. n.)

POSTĘPY FOTOGRAFII.

Od lat dziesięciu fotografia nabyła takiej wagi nietylko wobec sztuki, ale wobec umiejętności i przemysłu, że dla jej okazów na wystawie londyńskiej 1862 r. osobny dział wyznaczono.

Gdzież szukać dziś owych tak cenionych niegdyś dagerotypów?.... Znajdziesz je chyba tu i owdzie wybladłe, pożółkłe, przechowywane jedynie jako pamiątka rodzinna. Fotografia wyrugowała je zupełnie, — Talbot pchnął w zapomnienie Daguerra. Ale i fotografia nie pozostała na tym stopniu, na jakim ją twórca jej Talbot postawił; — Archer wydoskonalił ją, wynalazłszy sposób otrzymywania odwrotnych obrazów *(cliché négatif)* na szkle powleczonem kollodium, z którego następnie można otrzymywać do nieskończoności odbitki na papierze napojonym chlorkiem srebra.

Wszystkim wiadomo do jakiego stopnia doskonałości doszły dzisiaj odbicia fotograficzne; portrety, krajowidoki, wyborne kopie z obrazów i sztychów, wszystko wchodzi w ich zakres. Sztuka fotografii doszła dziś, można powiedzieć, do swego szczytu.

Lecz cóż się z czasem dzieje z temi pięknemi, nawet artyzmu cechę noszącemi na sobie obrazkami?... Oto tło ich blednieje, półcienie się zacierają, szczegóły nikną, i pozostaje tylko żółtawy rysunek, pozbawiony całkiem dawniejszego wdzięku.

Trzeba więc było porzucić chlorek srebra

a zastąpić go jakąś trwalszą substancyą. Pozęto robić doświadczenia, które doprowadziły do najpiękniejszych rezultatów, gdyż owocem ich jest heliografia, czyli sztuka rytowania na metalu za pomocą fotografii.

Sposób postępowania jest następujący: Płytę metalową pociąga się warstwą materyi czułej na działanie światła, (jaką jest np. mięszanina rozczynu dwuchromanu potasu i gumy). Tak powleczoną płytę nakrywa się obrazem odwrotnym otrzymanym zwykłym sposobem na szkle, i wystawia się ją na działanie światła. Po dokonanej solaryzacyi pociąga się płytę odczynnikiem dobranym stósownie do natury pokrywającej ją powłoki, który to odczynnik niszczy tę powłokę w miejscach, które nie były wystawione na działanie światła, a pozostawia nietkniętą w innych punktach. Jeżeli następnie poddamy płytę pod działanie kwasu, ten powygryza metal wszędzie, gdzie niemasz owej wernixowej powłoki, i tym sposobem otrzymamy płytę gotową do odbijania rycin zwykłym sposobem. Płytę gotową można jeszcze ulepszyć i utrwalić, pokrywając ją następnie galwanoplastycznie powłoką srebrną, złotą lub platynową. W Anglii metoda ta zastósowaną już została na wielką skalę przy sporządzaniu planów i map w zakładach rządowych, i przynosi wielkie korzyści i ułatwienia.

W podobny sposób zastósowaną też została fotografia do litografii, i to zowie się fotolitografią. Kamień pociąga się taką samą powłoką jak płyta metalowa, a następnie poddaje się działaniu słońca, nakryty odwrotnym obrazem na szkle otrzymanym. W skutek tego działania otrzymuje się na kamieniu obraz rzeczywisty *(image positif)* koloru brunatnego. Wtedy kamień przeciąga się wałkiem pokrytym tłustem czernidłem, a następnie zmywa się go ciepłą wodą za pomocą delikatnej gąbki. Miejsca na które światło nie działało, wymywają się przez to do czysta, przeciwnie w miejscach które były wystawione na działanie światła pozostaje czernidło i tym sposobem otrzymujemy na kamieniu rysunek, z którego już zwykłą metodą litograficzną zdejmują się odbitki.

Wynalazcą fotolitografii jest p. Alfons Poitevin, a p. Lemercier przedłożył na tegorocznej wystawie londyńskiej znakomite jej próby, — co większa, posunął się o krok dalej, bo z tego samego kamiemia otrzymuje odbitki chromolitograficzne.

Następnie zdołano otrzymać bezpośrednio na papierze obrazy rzeczywiste, nakreślone węglem. W tym rodzaju odznacza się szczególniej wynalazek pana Poitevin, gruntujący się na tem postrzeżeniu, że mięszanina nadchloranu żelaza i kwasu winnego rozprowadzona i wysuszona na powierzchni szkła lub papieru, pod działaniem światła wilgotnieje, to jest wciąga w siebie wilgoć z powietrza, a w ciemności przeciwnie.

Sposób zastósowania jest tutaj bardzo prosty. Szkło matowe pociąga się powyższą mięszaniną, a następnie osusza się w ciemności. Wystawia się potem tak przygotowaną płytę na działanie światła pod kliszą odwrotną, a w tej chwili dają się widzieć ślady obrazu, który rysuje się biało na tle nieco żółtawem. Wtedy szkło pociera się we wszystkich kierunkach miękkim płatkiem umaczanym w miałkim proszku węglanym. Proszek ten przylega do tafli mniej lub więcej, w miarę jak gdzie mocniej lub słabiej światło działało, a najdrobniejsze szczegóły wychodzą z zadziwiającą dokładnością. Tak otrzymany obraz pociąga się warstwą kollodium, która następnie zdejmuje się na papier, na który wraz z nią przenosi się i obraz; następnie przenosi się go jeszcze raz na papier przeciągnięty klejem, do którego silniej się przyczepia. Ta ostatnia czynność potrzebna jest na to, aby otrzymać obraz rzeczywisty *(positif)* z odwrotnego *(négatif)*.

W ten sposób za pomocą fotografii otrzymuje się wprost na papierze obrazy nigdy nie ulegające zniszczeniu, gdyż narysowane węglem, który na działanie czasu zupełnie jest nieczuły

PROSPEKT.

Każdy, komu prawdziwy postęp narodowy, na jakiéjkolwiek dokonywa on się drodze, nie jest obojętnym, z pociechą zauważał pewnie ów bujny rozrost literatury naszéj, na który własnemi oczyma codziennie patrzymy. Coraz więcéj pojawiających się to jednorazowych publikacyj, to pism peryodycznych i czasowych, wymownym a świetnym są tego dowodem.

Jeżeli jednak widok tego wzmagającego się z każdym dniem ruchu literackiego jest prawdziwie pocieszającym, toć więcéj jeszcze radować się możemy tem, że ruch ten przy takiem nawet ożywieniu nie wystarcza na potrzeby ogółu, który budząc się i rozwijając we wszystkich kierunkach, coraz to nowe poczuwa pragnienia i tworzy żądania, którym czynność literatów i zabiegliwość nakładców zadosyć uczynić nie jest w stanie.

Starannie zatem śledzić oni muszą za tętnem tego tryskającego życiem ruchu, aby zaspokoić choć najgwałtowniejsze jego wymagania, — aby mu dostarczyć choć téj strawy, za którą najbardziéj łaknie.

Idąc za powyższą wskazówką i bacząc pilnie czembyśmy się ogółowi Czytających najlepiéj przysłużyć mogli, dostrzegliśmy, iż jedną z najbardziéj poszukiwanych jego potrzeb, są dzisiaj **tanie a doborowe publikacye illustrowane.**

Illustracye w ogóle w ostatnich czasach znakomitą w wydawnictwie europejskiem grają rolę; u nas nie upowszechniły się stosunkowo tak jak gdzieindziéj, a przecież równie jak gdzieindziéj są poszukiwane. Jedyna nasza tego rodzaju publikacya na większą skalę: **Tygodnik illustrowany** warszawski, pomimo dość wysokiéj ceny prenumeraty tak powszechne mający wzięcie, na które zresztą doborem artykułów i rycin w zupełności zasługuje, jest najlepszym dowodem, jak dalece wydawnictwo tego rodzaju i u nas jest na czasie.

Te spostrzeżenia mając na względzie przedsiębierzemy wydawnictwo nowéj illustracji, któraby za *niską cenę* i przy *warunkach nader dla czytającéj Publiczności przystępnych*, różnostronnym jéj potrzebom i żądaniom dogodzić mogła.

Publikacya nasza któréj dajemy nazwę

SKARBCZYK DOMOWY,

wychodzić będzie poszytami, z których każdy składać się będzie z 4ch arkuszy druku ozdobionego 6 — 10 pięknemi drzeworytami. — Treść jego stanowić będą: historya, biografia, wypadki bieżące, podróże, opisy miejsc, powieści, poezye, nauki przyrodzone, odkrycia, wynalazki i inne interesujące wiadomości z różnych wiedzy ludzkiéj zakresów. — Nakładca powierzając z jednéj strony kierunek wydawnictwa w ręce kompetentne, z drugiéj honorując odpowiednio nadsyłane prace, jak niemniéj starając się o piękność wydania pod względem papieru, druku i rycin, nie zaniedba niczego, coby tak pod względem moralnym jak i materyalnym prawdziwą wartość publikacyi jego nadać mogło.

Poszyty ukazywać się będą nie peryodycznie, w odstępach mniéj więcéj 5ciu tygodni po sobie. Dwanaście poszytów stanowić będzie tom. Cena jednego poszytu **tylko 50 kr. wal. austr.**, które zaraz przy odebraniu każdego z osobna uiszczać należy.

Obok tego podaje się tutaj Szanownym Prenumeratorom sposobność taniego nabycia pięknych rycin. Albowiem każdy z nich, kto sobie tego życzyć będzie, w ciągu każdéj seryi, a mianowicie przy poszycie 6tym i 12tym, za uiszczeniem 50 kr. za każdą, czyli razem 1 fl. w. a., otrzyma jako premium dwie wyborowe ryciny, których cena w handlu wynosiłaby najmniéj po 3 fl., czyli razem 6 fl. w. a. — Ryciny przeznaczone do seryi pierwszéj są treści następującéj:

1. **Rafael Sanzio** malujący Madonnę (do posz. 6).
2. **Michał Anioł Buonarotti** w pracowni swojéj podczas odwiedzin Papieża (do posz. 12).

Ci z Prenumeratorów którzyby sobie życzyli każdy poszyt zaraz po wyjściu otrzymywać pocztą *franco*, zechcą całą należytość za 12 poszytów z góry, tojest 6 fl. w. a., lub 7 fl. w. a. za całą seryą wraz z 2ma premiami, przesłać *franco* do księgarni niżéj podpisanego.

Wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne przyjmują zamówienia na **Skarbczyk Domowy.**

Artykuły, korrespondencye, zapytania i t. p. uprasza się przesyłać *franco* pod adresem księgarni nakładcy.

W Warszawie: Skład główny w Księgarni J. Kaufmann i Hoesick. — Krakowskie przedmieście Nr. 442.

Juliusz Wildt.

W Drukarni „CZASU" 1863 r.